Nr. 9. Warszawa, dnia 28 (16) Lutego 1891 r. Rok XI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. **k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Ponieważ druk **Encyklopedyi dla dzieci** musi się przewlec wbrew naszym życzeniom, przeto w tygodniu następnym wydamy pierwszą jej połowę pod postacią osobnego zeszytu. Zeszyt drugi spodziewamy się ukończyć niedługo.

POLITYKA.

PRZED WIOSNĄ.

Radykalistom serbskim sprzykrzył się spokój i znudziła ich zgoda z rządem. Wprawdzie rząd ten był krwią i kością z ich krwi i kości, ale koleją wszystkich ludzi, którzy doszli do władzy, zesztywniał w niej i skamieniał, jak kwiaty umaczane w słonem źródle. Trudno wymagać od ludzi, którzy stoją u steru nawy państwowej, ażeby nie unikali skał i wirów, ażeby wywoływali burze; ale również trudno żądać od zniecierpliwionej załogi, która nie dźwiga na sobie odpowiedzialności za kierunek i bezpieczeństwo statku, ażeby nie wyrzucała im braku energii. Wszelkie wyżyny mają niższą temperaturę, nieraz też ta sama krew, która na dole wre, na górze marznie. Prezes gabinetu serbskiego, Gruicz, był bardzo czerwonym, dopóki był tylko Gruiczem, ale mocno zbladł, gdy stanął na czele ministeryum. Jego następca, Pasicz, mienił się także barwami jaskrawemi, które niewątpliwie złagodzi na stanowisku naczelnika rządu. Tymczasem on sam i jego zwolennicy upewniają, że Serbia chwyci się teraz polityki energiczniejszej.

Co to znaczy i znaczyć może? Rozumiemy: chodzi tu nie tyle o energię czynów, ile o energię słów. Jakkolwiek bowiem Serbia przyswoiła sobie pewne miny i objawia pewne ambicye wielkopaństwowe; jakkolwiek mówi się w prasie o jej dyplomacyi, wpływie na stosunki międzynarodowe, groźnej lub przyjaznej postawie, w rzeczywistości jest to maleńkie mrowisko, osłonięte tylko sprzecznościami interesów między mocarstwami i tak słabe, że każde z nich mogłoby je rozgrzebać kijem. O jakiemś więc wyzywającem i zaczepnem wystąpieniu ze strony takiej, choćby najhuńczuczniejszej garści niema mowy, czy jej przewodniczyć będą hetmani radykalni, postępowi, czy też konserwatywni. Owa tedy energia, o którą tak się dopomina zastęp Pasicza, polegać może i będzie na rozniecaniu lub rozdmuchiwaniu iskier w budowlach dwu sąsiadów—Turcyi i Austryi. Naturalnie bezpieczniejszem jest to podpalanie w pierwszej, tam też więcej krzesiw i płuc pracować będzie. Jeżeli tedy animusz Pasicza nie ochłonie na wyżynie rządowej, błyśnie znowu przed narodem ideą „odbudowania państwa wielkoserbskiego," tj. ideą niechęci do Austryi i pretensyi do Turcyi. Czy ta niechęć i pretensya zaważy cośkolwiek na szalach polityki europejskiej, zależeć to będzie od układu stosunków ogólnych, które utrzymują lub naruszają równowagę. Ponieważ zaś jest ona ciągle chwiejną, więc serbowie poprostu próbują szczęścia, grają na giełdzie politycznej, zapalają swą bubkę w nadziei, że może jakiś silny wiatr wiosenny ją rozdmucha i przy ogólnym pożarze pozwoli im odzyskać to, co niegdyś posiadali.

Zaznaczamy wszakże, iż jeżeli w kierunku tej nadziei biegną ich rojenia, lęgną się one i wylatują z głów marzycieli prywatnych, którzy nie są za nie odpowiedzialni i nie potrzebują obcinać im skrzydeł. Sam Pasicz i jego towarzysze, powołani do władzy dla wzmocnienia jej energii, będą musieli coś na rachunek swych przyrzeczeń zrobić, ale z pewnością nie wyjdą po za obręb bardzo skromnej zaliczki Niedługo pomiędzy nimi a tymi, którzy oddali im rządy, okaże się wielka różnica i wielka suma niespłaconych długów. Chyba... ciągle wyczekiwane oddawna a nieukazujące się wichry wiosenne wiać zaczną.

Ponieważ na tak słabych prawdopodobieństwach opierać się trudno, więc politykom rozważnym pozostaje tylko trwały grunt rzeczywistości. Na tym gruncie przedewszystkiem radykałowie serbscy winni budować pomyślność swego narodu. Gorączka, która ich opanowała, świadczy o chorobie, dotykającej zwykle państwa młode i niedojrzałe, namiętnie lubiące rzucać się w spekulacye polityki zewnętrznej. Serbowie od czasu odzyskania swej niepodległości wzmocnili się i rozwinęli niewątpliwie; głównie dzięki roztropności swych regentów wybrnęli szczęśliwie z niebezpiecznych rozterek w rodzinie królewskiej; wyzwolili się z rozmaitych zależności i w znacznej mierze spełnili swój ślub: Serbia dla Serbii; ale jakże im jeszcze daleko od usunięcia zaległości w pracy kulturnej, nagromadzonych w niewoli; jakże olbrzymia odległość dzieli ich jeszcze od narodów ucywilizowanych! Czyż wobec swej nędzy, ciemnoty i zapóźnienia się w rozwoju mogą i powinni na pierwszym planie stawiać zabory i knowania zagraniczne? Możeby to było dobrem, gdyby ostre języki działały jak bagnety, a słuszne słowa jak kartacze; ale, niestety, dziś one nie pokonywają, a nawet nie przekonywają nikogo. Dla odbudowania państwa wielkoserbskiego potrzeba innych sił i broni, któremi nie rozporządza ani p. Gruicz, ani p. Pasicz. Natomiast obaj oni, zarówno jak wszyscy patryoci serbscy, posiadają siły i środki do dźwignięcia narodu ze stanu, w którym on nie zagoił jeszcze ran i nie wyrównał strat długowiekowej niedoli. To pilniejsze i ważniejsze, niż Wielkoserbia.

LISTY SPOŁECZNO-POLITYCZNE O FRANCYI.

III.

Interwiew Papieża. — Prawica konstytucyjna. — Dwa prądy konserwatywne. — Polemika pp. Piou i d'Haussonville. — Prawodawstwo fabryczne: caisses de retraite, praca kobiet i dzieci, praca niedzielna, przemysł domowy.

Auch die Kultur, die alle Welt beleckt
Hat auf dem Teufel sich erstreckt.

Kultura liz: ęła nie tylko dyabła, którego po kopytach już nie poznacie — nosi on bowiem angielskie kamasze i watowane łydki. Czy to dawne czasy, gdy *Syllabus* miotał przekleństwa na każdego, „coby mówił o zgodzie ze społeczeństwem nowożytnem"? Obecnie Leon XIII, idąc za modą, przyjmuje *interviewy*, które są chyba pozbawione wszelkiego zapachu świętości. Wiernych to trochę zbruszyło, ale papież jest, jak wiadomo, nieomylny nawet wówczas, gdy wierzy w potęgę pornograficznego dziennika *Figaro*, który dotychczas ogłaszał światu poglądy francuskich kokotek, a od dziś będzie obwieszczał „całemu chrześciaństwu" oprócz tego jeszcze poglądy Jego Świętości, rozumie się, wraz z błogosławieństwem. Z rozmowy, wydrukowanej przez ten dziennik, wypływa, iż Leon XIII jest stanowczo za zerwaniem z dotychczasową polityką katolików francuskich, którzy sprawy religii nie odłączali od sprawy monarchii; daje natomiast swą zgodę panu Piou, który stara się przeprowadzić odpowiedni rozdział. Jest to Godefroy de Bouillon nowej krucyaty, w której kardynał Lavigerie odgrywa rolę Piotra Pustelnika z wielkiem powodzeniem, jakkolwiek znakomitej swej tuszy bynajmniej łachmanami nie okrywa. Prawica konstytucyjna, którą chcą utworzyć, jest obecnie kwestyą najżywiej rozbieraną we Francyi, może bowiem stanowić punkt zwrotny w jej polityce. Zachowanie się Leona XIII jest zupełnie zrozumiałe: po rozbiciu bulanżyzmu i po porażce, jaką odniosła „równoległa" polityka hr. Paryża i jego doradcy, p. de Mackau, pewna liczba biskupów z papieżem na czele rzekła sobie, iż czas już wziąć do rąk samodzielną obronę interesów religii, skompromitowanych przez przywódców monarchizmu i nadać w ten sposób walce z ruchem emancypacyjnym mas jej istotny konserwatywno-katolicki charakter. Nieprzyjaciel jest już u wrót Kapitolu, a tymczasem siły zaczepno-odporne duchowieństwa skierowywano w inne łożyska. Oczywiście Rzeczpospolita musi nareszcie uczynić krok, który logicznie wypływa z całego uprzedniego jej rozwoju, musi oddzielić kościół od państwa. Jest to kwestya tylko odroczona, będąca na pierwszym planie programu partyi, która wczoraj była u władzy i jutro znowu zdobyć ją może. Floquet, obejmując przed dwoma laty gabinet, żądał tej reformy, a jeżeli on lub Clemenceau jutro zostaną powołani do steru, to reforma niechybnie przeprowadzoną będzie. Zresztą pierwsze lepsze wybory mogą jej nadać ostrość i nieodwołalność. Gdy dom się pali, człowiek pobożny wynosi naprzód rzeczy święte: papież i duchowieństwo chcą właśnie, jako ludzie znani ze swej pobożności, wynieść z palącego się domu monarchii bóstwo, do którego codziennie zanoszą gorące modły, sześćdziesiąt milionów franków. Budżet kultów wisi na włosku! Koło tego programu grupuje się pewna liczba członków prawicy, żądnych wpływu, którego dotychczasowa, nieprzejednana polityka ich pozbawiła. Stąd niesnaski wewnętrzne. Dwa prądy, które szarpią obecnie łono konserwatystów, przejawiły się w miesiącu bieżącym nader jaskrawie. Pan de Haussonville, jedna z głów orleanizmu, mówiąc jako przedstawiciel hrabiego Paryża, namiętnie wyrzucał upadek ducha i odstępstwo tym, którzy opuszczają obecne szeregi, aby wstąpić do partyi nowej, „pozostającej dotychczas w stanie mgławicy." Ton ostry napaści miał widocznie na celu utrzymać dezerterów — których liczba wciąż wzrasta — w karności i rzucić postrach na śmiałków, którzy dali pierwszy znak nieposłuszeństwa. Pan Piou, który szukał po powrocie z Rzymu tylko sposobności otwartego wystąpienia, odpowiedział listem, gdzie przedstawia swój program. Nie przesądzając ostatecznej formy ustroju państwowego, nowa partya dążyć będzie do „obrony interesów konserwatywno-religijnych, na pierwszym zaś planie do zdobycia „szkoły wolnej" (czytaj „duchownej") na gruncie istniejącej konstytucyi. Program ten w obozie postępowym wywołał oburzenie. Wyrazimy najlepiej powszechne pod tym względem zdanie słowami de Portalisa: „Dla tych, którzy rozumieją półsłówka, formuła powyższa oznacza zniszczenie wszystkich zdobyczy republikańskich. Zwycięztwo tych dążeń oznaczałoby przejście władzy do rąk reakcyonistów i odbudowanie rządu klechów (le gouvernement des curés) pod etykietą Rzeczpospolitej. I to jeszcze niema żadnej pewności, iż etykieta ta byłaby długo zachowana. Ich przystąpienie do Rzeczpospolitej jest kwestyą czystej taktyki. Konstytucyonaliści dzisiejsi mogą się łatwo przemienić jutro w monarchistów. Pomiędzy reakcyonistami jedni chcą zdobyć Rzeczpospolitą na przebój, drudzy — powoli. Powinniśmy jej bronić zarówno przeciw pierwszym i drugim."

Prawodawstwo fabryczne, nadzwyczaj dotychczas zaniedbane, czyni ostatniemi czasy dość znaczne postępy we Francyi. Mamy dziś do zaznaczenia kilka ważnych na tem polu zdobyczy. Zauważmy wszakże naprzód, iż „Conseil superieur du travail," o utworzeniu której pisaliśmy w poprzednim liście, do tego stopnia nie zadowoliła robotników, iż paryska Giełda pracy, żądała od swego sekretarza, Ribaniera, aby nie przyjął udzielonego mu przez ministra urzędu członka powyższej Rady. Giełda zwróciła się zarazem do izb syndykalnych z żądaniem, żeby wybrani przez ministra ich członkowie zrzekli się mandatów. Powodem opozycyi jest obecny skład Rady i sposób jej wyboru. „Organ czysto robotniczy powinien się składać z robotników i być przez nich wybieranym" — tak twierdzi Giełda. Ribanier podał się natychmiast do dymisyi.

Izba wydała w miesiącu bieżącym nadzwyczaj ważne prawo w sprawie kas emerytalnych robotniczych, istniejących przy niektórych fabrykach. Dotychczas w razie bankructwa fabrykanta robotnicy tracili swe składki, a w najlepszym razie ulegali wspólnemu ze wszystkimi wierzycielami losowi. W przeszłym np. roku zdarzyły się dwa bankructwa, w których robotnicy stracili po półtora miliona franków. Nowe prawo zabezpiecza poniekąd krwawo zarobiony przez biedaków grosz od takiego łupiestwa.

Nareszcie cały szereg praw uregulował pracę kobiet i dzieci. Kwestyę tę podniesiono obecnie poraz trzeci, aby ostatecznie przemódz opozycyę Senatu; nie zgadzał się on dotychczas na zakaz pracy nocnej kobiet,

---

W NOCY.

Szpital nauczył mnie — a sądzę, że każdego nauczyć potrafi — nie lękać się śmierci. Przyznajcie, nerwowi panowie, że dla pozbycia się tej obawy warto skazać się na spożywanie kleiku szpitalnego w ciągu paru tygodni. Skutek zaś powinien być niezawodny, z wyjątkiem bowiem pola bitwy, śmierć nigdzie nie jest tak czynną, jak w szpitalu, nigdzie więc znaleźć nie można tyle, co tu, sposobności do oswojenia się z nią.

Jak umierają ludzie, którzy spotykają się z kulą, odłamkiem granatu lub ostrzem bagnetu — nie wiem; w szpitalu zaś wiem, iż umierają z nieporównaną prostotą i skromnością. Zdaje mi się, że dwa te wyrazy najlepiej malują rzecz, ale dodam jeszcze, że jest w tej śmierci cichość jakaś niezmierna, posłuszeństwo jakieś ogromne, bezoporne. Ludzie umierając, zdają się słuchać czyjejś komendy i — co dziwne — spełniają ją skwapliwie, podobni do szkolników, których z dusznej izby wypędza pożądany odgłos dzwonka. Tylko że tu nikt tornistrów swych nie ładuje, przeciwnie, zostawia się wszystko, nie wyłączając — cielesnej powłoki. Dziwne zapomnienie! — świadczące o niezwykłym pośpiechu i wielkiej uciesze, iż... skończyła się trudna lekcya.

Szpitalnicy umierają z uległością potulnych dzieci lub z zadowoleniem ciężko spracowanych bydląt, którym uśmiecha się wypoczynek bodaj na zgniłej słomie. Umierają, nie starając się nikogo zainteresować swoją osobą, przeciwnie, zdradzają w owej chwili jakąś wielką wstydliwość; zdawałoby się, iż każdy pragnie odejść tak, żeby nikt tego nie widział.

Karność, panująca w szpitalu, rozciąga się i na umierających. Mówię bez ironii, gdyż uważam to za dobre. Do szpitala nie przychodzi się na bałamuctwa, masz umrzeć lub wyjść zdrowym, w żadnym razie nie powinieneś marnotrawić czasu i zajmować miejsca należnego innemu, bo w każdej chwili jest mnóstwo ludzi, którym pilno umrzeć i takich, którym pilno wyzdrowieć. Gdyby społeczność szpitalna roztkliwiała się z okazyi każdego nieboszczyka, to w domu jej powstałaby demoralizująca atmosfera, chorzy traciliby hart, umieraliby z samej bojaźni śmierci. Tak zaś, jak jest, jeśli nie zawsze zdobywają się na jej pogardę, to przynajmniej zyskują tępą obojętność. Gdy tracisz pierwszego sąsiada — ogarnia cię lęk, za drugim, trzecim — powiadasz sobie: mniejsza o to — i myślisz już tylko o tem, żeby samemu się nie skompromitować. Pragniesz wysunąć się niespostrzeżonym.

Gdy jednak, rzucony na szpitalne łóżko, przestałeś już drżeć przed myślą, że jakaś niewidzialna ręka może cię niebawem wyplątać z węzła głupstw, zwanego życiem, nie znaczy to jeszcze, iżby dusza twoja skamieniała. Bo patrz na tę łzę, co sączy się z otwartego oka twego sąsiada i spływa na jego milczące, zaciśnięte usta... Ach, przez wszystkich bogów, on czegoś żałuje... Jakżeż okropną jest ta łza, której już żaden wysiłek zatrzymać nie mógł, której ten biedak nie potrafi ukryć ani przed sąsiadem, ani przed zakonnicą, ani przed posługaczem!

Szpital uczy pogardzać śmiercią — dla siebie, ale nie zabija współczucia...

* *

Pomimo wczesnej godziny wieczoru zimowego szpital pogrążony jest w uśpieniu, przynajmniej pozornie. Za jego murami miasto wre ruchem i gwarem, w obrębie ich — życie przyczaiło się już z nastąpieniem mroku.

Zakonnice odmawiają teraz wieczorne modlitwy. Posługacze śpią. Na podłodze, pośrodku sali, każdy z nich rozciągnął swe posłanie i zaledwie dotknąwszy głową poduszki, usnął snem zdrowego a zmęczonego człowieka.

Światła przyciemnione. Chorzy nie prowadzą już rozmów, każdy usiłuje zasnąć, a gdy mu się to nie udaje — milczy, skupia się w samym sobie, rozmyśla i otwartem okiem błądzi po zakątkach sali, którą głęboki pomrok zalewa. W pomroku tym daje się jednak słyszeć ciche i nieustanny

ku wielkiej radości jednej z naszych gospoś literackich, która nadzwyczaj rezolutnie i przekonywająco broniła niedawno zasady „wolności pracy,“ zapytując: „w jaki sposób panowie marxiści — chcący tę wolność obalić — mogliby pić smaczną kawę z kożuszkiem, gdyby kobietom zakazano przywozić w nocy mleka do miast.“ Izba nie przyjęła tej przekonywającej repliki pod uwagę i pracy nocnej zabroniła. Zakaz ten stosuje się i do chłopców, mających mniej niż 18 lat. Oprócz tego zmniejszono czas pracy do godzin dziesięciu dla powyższej kategoryi chłopców, dla dziewcząt i kobiet. Paragraf projektu, ustanawiający odpoczynek niedzielny, zmieniono w ten sposób, iż jeden dzień w tygodniu będzie służył odpoczynkowi. Przy obecnem położeniu politycznem zastrzeżenie to było koniecznem, gdyż inaczej reforma byłaby zabarwiona przymieszką religijną, której reakcya nie omieszkałaby wyzyskać na swą korzyść.

Nareszcie wiek dzieci, które mogą być przyjmowane do fabryk, zniżono z 13 lat, jak tego wymagał projekt, na lat 12, wbrew silnym protestom ze strony socyalistycznego deputowanego, Ferroulla. A co najgłówniejsza, odrzucono — przy współudziale socyalisty na święconej wodzie p. de Muna — żądanie, także przez Ferroula postawione, aby prawa powyższe zastosowane były nie tylko do fabryk, ale do magazynów i przemysłu drobnego, niezależnie od tego, czy dziecko jest wyzyskiwane przez przedsiębiorcę, ojca, matkę lub opiekuna. Czyż można sobie wyobrazić większy wyzysk, nad ten, który w rodzinach chłopskich i drobnomieszczańskich dokonywa się względem dzieci? Za łyżkę strawy i przyodziewek biedactwa pracują nieskończoną ilość godzin. Oto jeszcze jedna instytucya, która w średnich wiekach miała racyę bytu, a obecnie przemieniła się na narzędzie wyzysku. Żądanie więc Ferroula było zupełnie słuszne. Wywołało ono jednak niesłychane, rozumie się, oburzenie, wśród obrońców rodziny, mających po dziesięć kochanek, u których żyją zwykle na utrzymaniu mniej więcej legalnem. „Święta powaga“ rodzicielskiego wyzysku jeszcze raz została ustrzeżoną. Ale samo podniesienie tej kwestyi jest wiele mówiącym znakiem czasu. Jako jednostka ekonomiczna, rodzina wkrótce pozostawi po sobie już miłe tylko wspomnienie. Jako jednostka moralna została ona zdyskredytowana przez posagi i inne geszefty, na których się opiera, przez cudzołóstwo i prostytucyę, nieodstępne swe towarzyszki, przez demoralizacyę, jaką wywołuje, uprawniając wyzysk dzieci przez rodziców ubogich i brudząc duszę dzieci rodzin bogatych chęcią szybkiego spadkobierstwa. Dzieci te życzą tylko w najlepszym razie szybkiej śmierci ciotkom i stryjom... Nareszcie, jako instytucya wychowawcza rodzina stała się anachronizmem. Już dla uszycia trzewika drobna gospodarka rodzinna obecnie nie wystarcza, a tembardziej dla wychowania dziecka. Gdyby kto oddał kierownictwo maszyny parowej pierwszemu lepszemu chłopu, sklepikarzowi nawet adwokatowi, lub lekarzowi — uznanoby go za waryata. Tymczasem wszyscy uważają, iż ten chłop lub sklepikarz jest najlepszym wychowawcą swych dzieci. Czyż jednak dziecko nie jest stokroć bardziej złożoną maszyną od parowca? I jeżeli drobne warsztaty szewckie zanikają przed fabryką obuwia, tembardziej muszą uniknąć te drobne warsztaty do zabijania wszelkich zdolności ludzkich. Zadanie to może już obecnie być wykonywane tylko przez instytucye olbrzymie i przez ludzi, posiadających cały ogrom wiedzy współczesnej.

L. W.

WZBIERANIE ZALEWU.

Historya z naciskiem zaznacza, że od początku bieżącego stulecia daje się spostrzegać wśród niemców bezustanny jakiś ruch i niepokój, który zrazu mgliste, obecnie coraz jaśniejsze, wyraźniejsze, pełniejsze i pewniejsze przybiera kształty. Ruch ów niewątpliwie wywołały wojny napoleońskie, spotęgowały zaburzenia lat 1830 i 1848, skierowały zaś i zepchnęły w jeden już kierunek wielkie wojny z lat 1866 i 1870—1871.

Po sromotnych klęskach, jakie zadał niemcom Napoleon, uczuli oni, że ich byt polityczny na kruchych spoczywa podstawach; po rewolucyach zaś dopatrzyli, w czem głównie leży źródło niepowodzeń i niemocy. Oto ilościowo tworzyli oni szczep liczny i wielkie zajęli obszary ziemi, lecz rozbici na drobne organizmy państwowe nie mieli ani wielkich celów przed sobą, ani też razem na zewnątrz nie wystąpili jako jednolita całość, a nadto stali pod kierownictwem mocarstwa, w którego interesie leżała ich słabość. Przez długie lata cała siła narodu topiła się w zatargach wewnętrznych i popieraniu partykularnych zachcianek. Gdy tedy naród spostrzegł, gdzie spoczywa jego niemoc i na czem ona skończyć się może, pospieszył z poprawą. Rozpoczęła się więc podówczas we wnętrzu jego owa cicha i powolna praca, która miała owo złe wykorzenić, a szczepowi nadać siłę i znaczenie, jakie posiadać był winien.

Wynikiem tej pracy były wojna austro-pruska w r. 1866, a następnie prusko-francuska, wykluczenie Austryi z Rzeszy, a wreszcie zespojenie się pojedynczych państewek w cesarstwo, które na zewnątrz przedstawia się jako jednolity organizm, jako jedna siła, bo jedną poparta armią.

Tu wszakże nie koniec tych usiłowań, nie kres ich ostateczny. Ów potężny na zewnątrz gmach, ma we wnętrzu swem szpary i rysy, które nieujęte klamrami całej budowie grożą zawaleniem. Dość wspomnieć o bawarczyku, który nienawidzi prusaka, lub o sasie, który marzy o dawnem samoistnem królestwie, wreszcie o polaku, który niemca wogóle znieść nie może. Każdy z osobna i wszyscy razem wcale utrzymania cesarstwa niemieckiego nie pragną i owszem życzyliby sobie jego rozpadu. Ten fakt politycy z nad Sprei aż nadto dobrze znają, a jeszcze lepiej odczuwają; starają się więc go usunąć. Cała polityka parlamentarna cesarstwa w ostatnich dwudziestu latach przepełniona usiłowaniami w tym kierunku, aby niemców wszelkiego pochodzenia, a szczepy, a raczej odłamy szczepów, które nieszczęsny przypadek między nich rzucił, bez litości wynarodowić lub zniszczyć. Cała ta jednak polityka, jak okazują rezultaty, chybiła, o ile chodziło o wyrównanie różnic między tak samymi niemcami istniejących; dziś tak samo, jak przed laty dwudziestu, niemiec z południa nie znosi prusaków i marzy o dawnej swobodzie, a tylko w karbach trzyma go owa potężna armia, do której sam wlewa swe żywotne soki i oddaje pod znienawidzoną sobie komendę. Jedno wstrząśnienie, jeden wypadek, bodajby drobny, a cała ta słabość wewnę-

---

gwar, wyjawiający obecność wielu ludzi i nieucichający przez noc całą. To ktoś jęknie lub zakaszle, to ocknie się z przykrego snu i wypowie kilka oderwanych, niezrozumiałych słów... Co mówił, do kogo? Nikt nie pyta i nikt mu nie odpowiada. To ktoś zacznie przywoływać posługacza i powtarza długo swe wołanie przyciszonym głosem, aby nie budzić śpiących. To czyjeś kaszlnięcie stanie się zaraźliwem i wszyscy zaczynają kaszlać, wydobywając najrozmaitsze, czasem przykre i dziko dźwięki. To jedna z tablic blaszanych, nad łóżkiem zawieszonych, poruszy się i wyda chrzęst suchy...

Echa tych dźwięków nie przedostają się do korytarzy, które są oświetlone, puste i milczące.

Po obu stronach ich ciągną się szeregi nisz, z nich jedne zawierają drzwi lub okna, wiele zaś jest pustych. Martwy spokój tu panuje, niekiedy tylko przewiew powietrza zakołysze płomieniem lampy, a ten poruszy cienie i gdy jedne z nich wpełzają wówczas do pustych nisz — inne poczynają się ślizgać po białych arkadach sufitu. Rzadko kiedy po miękkim chodniku przemknie posługacz z kubkiem w ręku, dążąc po wodę do kranu, umieszczonego w bocznym korytarzyku, a gdy odgłos jego kroków ucichnie i postać zniknie za załomem ściany, znów pustka dziwna, niepokojąca obejmuje te długie, niekończące się, po wiele razy załamujące się korytarze.

W końcu jednego z nich znajdują się drzwi białe, nad niemi nr. 5 i tabliczka z napisem: „wewnętrzne — odosobnieni.“

W sali tej, wązkiej i długiej, dwa kinkiety o mocno przyćmionych płomieniach prawie wcale nie rozwidniają ciemności. Są to niby czerwone ogniki zatopione w mroku. Długo z nim oswajać się trzeba, nim spostrzeżesz, iż w szeregu łóżek dwa tylko — obok siebie w jednym narożniku stojące — są zajęte.

Na jednem z nich spoczywa mężczyzna, na drugiem — chłopiec-dziecko. Trzecią żyjącą istotą w tej mrocznej przestrzeni jest posługacz, śpiący w kąciku na materacu, rozesłanym za łóżkiem chłopca.

Ciszę mącą tylko oddechy, oddech mężczyzny jest wolny i niegłośny, dziecka — szybki, świszczący, posługacza — miarowy i chrapliwy.

Trzy te istoty pozornie tylko spoczywają blizko siebie, w istocie znajdują się one bezgranicznie daleko jedna od drugiej. Nie widzą się wzajemnie, nie słyszą, nic o sobie nie wiedzą.

Skąd przybywa i dokąd dąży ten mężczyzna? On sam nie umie na to odpowiedzieć. Gdy spojrzy za siebie, widzi tylko przestrzeń szarą i mętną taką, jaką step ukazuje zmierzchem lub w czasie poczynającego się brzasku zimowego; nic tam rozpoznać nie można, ani nieba, ani ziemi, przedmiotów żadnych, najmniejszego śladu drogi. Gdy zaś śladów tych zaczyna szukać uporczywie, powtarzając sobie, że przecież zaginąć nie mogły, to spostrzega wysuwające się z tej bezbrzeżnej szarzyzny ciemne i chłodne w dotknięciu macki jakichś nad wyraz potwornych istot—odwraca się wówczas z odrazą i niechęcią i spogląda przed siebie; ale tu napotyka ustawicznie jednę i tę samą twardą, czarną ścianę. Jest on nietylko zupełnie samotnym, ale nadto zatracił przeświadczenie, żeby gdziekolwiek istniały podobne doń istoty. Jest on jakąś zgasłą gwiazdą, rzuconą w tak odległą część wszechświata, iż stamtąd ani jednego z istniejących w nim słońc nie widać.

Chłopiec przebywa w innym świecie.

Ileż to dni i ileż nocy trwa ten wściekły, okropny ruch bez chwili spoczynku! Jak on się już zadyszał, jak niezmiernie jest zmęczony, a jednak ciągle coś nim miota, popycha go, przymusza do biegu. I biegnie sam lub z mnóstwem innych ludzi, którzy krzyczą i on krzyczeć musi, choć piersi go bolą i głos mu w gardle więźnie. Czasem szybkość tego biegu staje się tak gwałtowną, iż ludzie rozpadają się na kawałki, a wtedy osobno lecą głowy, osobno ręce, nogi... Wtedy porywa go wicher tak szalony, że już nic nie jest w stanie podążyć za nim, tylko świst, huk, łomotanie rozlega się dokoła...

W tym samym czasie posługacz najspokojniej siedzi sobie w ojcowskiej chacie, na ławie i ze smakiem zajada z miski kaszę, porządnie okraszoną. „Podła służba w szpitalu — skarży się przed matką — ale jeszczeby człowiek wycierpiał, żeby nie jadło

trznej organizacyi państwowej wystąpi na jaw i sprowadzić może skutki niepożądane.

Świadomość złego, to już połowa naprawy, a tę świadomość posiadają patryoci niemieccy, w których żyją jeszcze wspomnienia z czasów dawniejszych i marzenia o jednym szczepie germańskim, który zaleje Europę. Oni to podali projekt następujący. Drogą ustaw wiele można zrobić dla jedności państwowej, ale nie wszystko i nie prędko; w niemców trzeba wlać przekonanie, że są niemcami i spotęgować je w ten sposób, aby między sobą żadnych nie upatrywali różnic, wzmocnić poczucie obowiązku wobec ogólno niemieckiej idei. Hasło to już się spełnia. Mamy przed sobą cztery okólniki drukowane, z których pierwszy i najważniejszy opatrzony jest w górze charakterystyczną oznaką poufnego (Vertraulich), a podpisany „Mit deutschem Grusse. Allgemeiner Deutscher Verein-Aufsichstrath und Geschäftsführung.“

Wyznawcy tedy pangermanizmu złączyli się ścisłym węzłem i rozpoczęli agitacyę w interesie swych idei, agitacyę, która tem jest niebezpieczniejsza, że leży w interesie państwa, które ją musi z całych sił popierać. Utworzyli oni w swem łonie silną organizacyę z radą nadzorczą i wydziałem wykonawczym (Aufsichtsrath und Geschäftsführung), werbują członków dla swego stowarzyszenia w całej monarchii, bo — jak powiada odezwa — „każdy niemiec, który uznaje istnienie owego ogólno-niemieckiego ducha i pierwiastku, który rozumie konieczność dalszego jego rozwoju, tem samem należeć winien do ogólno-niemieckiego związku.“ Niedość jednak niemców, którzy żyją w cesarstwie; związek chce ich objąć wszystkich, gdziekolwiek przebywają na świecie. „Nadto w ścisłem odgraniczeniu od niemieckiej państwowości pielęgnować trzeba ów wspólny węzeł, łączący bez wyjątku wszystkich niemców, tj. ów ogólno-niemiecki pierwiastek.“ Rozpoczęto od urządzenia pierwszej ogólno-niemieckiej uroczystości; zaproszenia na nią podpisały osoby tego stanowiska i znaczenia, co hr. Ballestrem, zastępca marszałka parlamentu, dr. August, profesor akademii inżenieryi i artyleryi, Becker, prezydent akademii sztuk, Borchardt, radca miejski, prof. dr. Gneist, rzeczywisty tajny wyższy radca sprawiedliwości, członek rady stanu, Levetzow, marszałek parlamentu, Reuleaux, tajny radca regencyjny, gen. major Sucro i inni.

Program związku drukowany na osobnym arkuszu p. t. „Projekt celów, zadań i planu robót ogólno-niemieckiego związku.“

W streszczeniu owe cele wyrażają się tak:

1) pielęgnowanie ducha i charakteru niemieckiego, dążności, zapatrywań, zasad niemieckich;

2) walka przeciw niepotrzebnemu używaniu cudzoziemczyzny na wszelkich polach kultury;

3) pielęgnowanie sprawy wszechświatowego stanowiska żywiołu niemieckiego;

4) popieranie pierwiastku ludzkiego w rozumnem niemieckiem pojęciu (?!).

5) przeprowadzenie i obrona wszelkich ogólno-niemieckich spraw tak w kraju, jak i za granicą według jednolicie powziętego planu;

6) uzupełnianie, skupianie, pogłębianie i popieranie dążeń związkowych we wszelkich ogólno-niemieckich przedsiębiorstwach i celach.

Plan ten obejmuje dziewięć punktów. Corocznie odbywać się ma ogólno niemiecka uroczystość i walne zgromadzenie. Będą ustanowione komisye, jak np. „dla niemieckiego wykształcenia,“ „dla nauki o niemieckich czynach i obowiązkach,“ tj. obowiązkach niemieckiego literata, mówcy, nauczyciela, księgarza, publicysty itd. Związek podejmować będzie i popierać prace ogólno-niemieckie, np. za pomocą konkursów. Urządzi ogólno-niemieckie publikacye, broszury i wykłady za pośrednictwem wędrownych nauczycieli, ogólno-niemiecką szkołę wymowy (!). Wreszcie wykształci ogólno-niemieckich sprawozdawców i zużyje odłogiem leżące siły młodzieży akademickiej.

Program to olbrzymi, lecz prosty i jasny a niewątpliwie będzie niedługo popularny w całych Niemczech. Nie jest on w znacznej części oryginalnym, bo jego idee wypisane były na sztandarze, podniesionym między r. 1844 — 1848 przez wolnomyślnych, lecz podówczas rządy go stłumiły. Jest on groźną zapowiedzią dla państw, które w łonie swem posiadają większą ilość jednostek, o które ów ogólno-niemiecki związek się troszczy, aby nie straciły poczucia przynależności do cesarstwa niemieckiego.

Ł. z.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Chociaż pisma półurzędowe zaprzeczyły, ażeby zuchwalstwa ks. Bismarka były przedmiotem narady ministrów, nie ulega wątpliwości, że cesarz niemiecki skarcił je surowo i jest gotów zatamować w sposób dotkliwy dla b. kanclerza. „Kto mi stawiać będzie opór, tego zmiażdżę“ — pogroził przed rokiem publicznie i rzeczywiście usunął Bismarka. A czy go nie zechce zmiażdżyć? Niedawno na uczcie, wyprawionej z powodu otwarcia sejmu brandeburskiego, wypowiedział długą mowę, która zawiera kilka punktów godnych zaznaczenia. Stwierdziwszy z żalem, że wylewa się morze atramentu dla zaciemnienia tego, co jest jasnem (w tym wylewie Bismark bierze znaczny udział), Wilhelm II wezwał obecnych a z nimi cały naród do zaufania mu jako naczelnemu wodzowi, dokądkolwiek swych poddanych prowadzi. Wzorem swych przodków nie myśli on być monarchą jakiejś klasy, lecz ogółu; będzie miał oczy zwrócone na dobro powszechne, nie zaś cząstkowe. Słowa te, wygłoszone tonem bardzo energicznym, sprawiły głębokie wrażenie, a w pewnych najbliższych tronowi kołach — zamieszanie, gdyż uderzyły w nie druzgocącym grotem. Zwłaszcza posiadacze wielkich obszarów ziemi i przedstawiciele wielkiego przemysłu korzystali ze wszystkich przywilejów, a zjednoczywszy się w rozmaite „kartele“ i „ringi,“ opasali naród obręczami swych samolubnych interesów. Za Wilhelma I i za Bismarka monarcha był właściwie ich monarchą i protektorem. Inne klasy społeczne, upośledzono w tej opiece tronu, musiały znosić wszystkie dokuczliwe skutki takiego uprzywilejowania. Obecny cesarz niemiecki postanowił, wbrew temu, o czem zapewnia, zejść z drogi utorowanej przez dziada, zmienić „kurs“ i rozpostrzeć swe skrzydła szerzej. „Baronowie żelazni,“ „królikowie przemysłu,“ „dziedzice ziemscy“ i tym podobni szczęśliwcy, którym tylko tego brak, ażeby mogli jeść za stu lub milion, a którzy ciągle się skarżą, że mają do zjedzenia za mało, nie mogli naturalnie zachwycić się tą zmianą „kursu.“ Legityzm, ustawicznie zaprzysięgana w mowach i artykułach dziennikarskich wierność tronowi

---

tamtejsze. Bardzo obrzydliwe...“ I nadstawia miskę po nową porcyę tej wybornej kaszy.

— Panie Szulc, panie Szulc.... panie Szulc — szepcze drżący, rwący się głos.

Rzecz dziwna, iż głos ten choć cichy był, wpadł jednak w ucho ucztującego posługacza. Ocknął się on nagle i przysiadłszy na posłaniu, popatrzył mętnemi ze snu oczami na przykręcony płomień lampy.

— Panie Szulc, panie Szulc.

Posługacz wstał i podszedł do chłopca.

— Czego chcesz? — zapytał dobitnie, nachyliwszy się nad jego łóżkiem.

— To pan, panie Szulc?

— Nie. Mów, czego chcesz.

— Oh, panie Szulc, jestem .. jestem bardzo słaby. Daj mi pan... wody, panie Szulc.

Mówiąc nie roztwierał powiek, a głos jego dobywał się z niezmiernym trudem, jakby z przymusu.

— Niema tu żadnego Szulca. Napij się.

Chłopiec zaczerpnął ustami kilka łyków wody z kubka. Zamilkł potem, ale usta jego poruszały się wciąż, jakby daremnie usiłując wyraz jakiś pochwycić. Szulc uciekał już od niego z niewysłowioną szybkością, a on wszystkie siły natężał, aby go dogonić.

Posługacz wrócił na swe posłanie i rzucił się na nie ciężko, z wielkiem zadowoleniem. Kołdrę naciągnął na głowę — ot jak teraz zaśnie, to niech pioruny trzaskają.

Sąsiad chłopca otworzył w tej chwili oczy. Głosy rozlegające się w pobliżu wyprowadziły go z ciężkiej, odrętwiałej senności. Zdziwiły go z początku wielce, a potem żywą przyjemność sprawiać mu zaczęły. Czyż to nie upłynęły już miesiące, może lata od czasu, jak ostatni raz słyszał głos człowieka. Jak to miło! Szara i mętna przestrzeń natychmiast odsunęła się odeń daleko, przed sobą nie czuje już również ściany, a nawet widzi — tak, wyraźnie widzi światło. Przygląda się ciekawie temu czerwonemu ognikowi i decyduje w myśli, iż jest to dalekie ognisko, rozpalone na polu. Stamtąd to dochodzą go głosy, gdyż przy ognisku są zapewne ludzie. Radby podejść bliżej i posłuchać, o czem mówią, ale jest tak słaby... ognik gaśnie pod powiekami, które mu opadają, dokoła znów panuje milczenie.

Po chwili usłyszał wyraźnie, iż od strony ogniska ktoś zbliża się ku niemu, wołając: panie Szulc, panie Szulc.

Zdumienie go ogarnęło, nie otworzył jednak oczu, gdyż pomyślał: to nie moje nazwisko.

Głos nie ucichał, odzywał się bliżej lub dalej, jakby wiatr pochwytywał to wołanie i niósł je nad polem, po nocy. A żałośne ono było, żałośnie ogromnie i wyraźnie — dziecinne.

Człowiek, który je słyszał, zaczął drżeć.

— Panie Szulc, wody... odrobinkę wody.

Słowa te tak wyraźnie zadźwięczały w uszach jego, iż się wstrząsnął. Wołanie o wodę wśród pustek i ciemności nocy było czemś tak okropnem. Z lękiem niewymownym otworzył oczy — i nikogo nie ujrzał. Ognisko płonęło w tem samem miejscu. Dokoła była pustka.

Z odrazą przymknął powieki. Szara przestrzeń z rojowiskiem wstrętnych istot znów się doń przybliżyła — zdawało mu się, że gorączka powraca. To też gdy znów ten sam głos się odezwał, on tylko zaciął usta i postanowił słuchać spokojnie, poddawszy się gorączce.

Udawało mu się to z początku, lecz po niejakim czasie znów z całą jasnością wystawił sobie dziecko jakieś zabłąkane w ciemności i wołające na niego obcem jakiemś nazwiskiem. Dziecko to zabiega koło niego ze wszystkich stron, usiłuje zajrzeć mu do twarzy, lecz w ciemności poznać go nie może i nie śmie rączką uchwycić go za ubranie. Żałość niezmierna ścisnęła mu gardło. Z wysiłkiem wielkim podniósł głowę i szeroko rozwartemi oczami rozejrzał się dokoła.

Ah, jak trudno jest zrozumieć to wszystko!

Ani pola, ani ogniska, ani zabłąkanego dziecka — niema. Tak mroczno w tej sali, w kącie odległym płonie przyćmiona lampka — ona to wydawała mu się ogniskiem. Jednak tu jest ktoś żyjący i wzrok jego z osłupieniem spoczął na jakiejś drobnej istocie, leżącej na sąsiedniem łóżku, pod kołdrą skulonej, niewyraźnej w mroku.

Nie odrywał od niej oka. Rozróżniał dość wyraźnie małą główkę, która zsunęła się na sam brzeg poduszki i z pod kołdry wy-

nie pozwala im na szerokie otworzenie ust, ale w cichych szemraniach dają ujście swym żalom lub gniewom. Są to ślepcy, którzy nie widzą i nie rozumieją potrzeb czasu i których monarcha musi zawstydzać.

Według jednych przypuszczeń cesarzowa Fryderykowa pojechała do Francyi z celem politycznym, według innych — z zamiarem nakłonienia artystów francuskich do przyjęcia udziału w wystawie berlińskiej. Rzeczywiście obcuje ona w Paryżu głównie z artystami i stara się na nich oddziałać. Dotychczas zjednała kilku, ale krzyk, podniesiony przez Derouleda i zmartwychwstałych bulanżystów, odstrasza wielu od zetknięcia się z niemcami nawet w dziedzinie sztuki. Oprócz odrazy, płynącej ze skutków wojny, mają oni słuszną racyę do odmowy w zachowaniu się niemców wobec ostatniej wystawy paryskiej. Ale cesarzowa Fryderykowa posiada dużo wdzięku, w przeszłości nie zgrzeszyła niczem przeciw Francyi, była ofiarą nienawidzonego Bismarka, przyjazdem swym składa artystom francuskim dowód czci szczególnej, więc może pokona ich skrupuły. Z drugiej wszakże strony w tej podróży tkwi niewątpliwie pewna myśl polityczna, myśl złagodzenia międzynarodowych stosunków. Zdradził się z nich sam Wilhelm II, który bytnością na balu u posła francuskiego, serdecznym listem, wyrażającym żal po śmierci Meissoniera i innymi objawami dał do zrozumienia, że chciałby wejść z sąsiadką na drogę zgody. Zresztą Bismark, który w tego rodzaju wypadkach ma węch dobry, widocznie coś zwietrzył, kiedy kazał ujadać sforze hamburskiej.

Kult dla Rosyi trwa we Francyi ciągle, ale zaczyna pojawiać się w takich formach, które nie mogą być przyjemne nawet dla uczczonej. Gdyby francuzi nie byli, jak są, bezprzykładnie głupi i ciemni w znajomości stosunków zagranicznych, wybieraliby dla swych uwielbień przedmioty odpowiednie. Ale ponieważ mieszają im się ciągle w głowach osoby i rzeczy, więc popełniają takie niedorzeczności, że aż prasa ruska zaczęła ich napominać. Oto co piszą *St. Pet. Wiedomosti*: „W Paryżu znajduje się obecnie bohater nieszczęsnej wycieczki do kraju negusa, zbyt głośny kozak wolny, Aszinow. Pani Adam, pragnąc koniecznie grać rolę w stosunkach Francyi z Rosyą, nosi się z tym Aszinowem — według naszego przysłowia—jak z torbą malowaną. Duumwirat ten i wrzawa, przezeń w Paryżu wywołana, budzą w nas przykre nader uczucie. Dyletantyzm polityczny jest zawsze nieznośny. Aszinow przybył samoistnie do Paryża, nie wiadomo dlaczego. Komiczne występy kozaka w salonach pani Adam nie pociągną oczywiście za sobą szczególniejszych następstw — dla samej już trudności obradowania z „atamanem," niemówiącym po francusku. Ilekroć wszakże do stosunków Francyi z Rosyą wtrącają się takie niepowołane i dziwne żywioły, zawsze ubolewać wypada, że na wybrzeżach Sekwany jest dotąd jeszcze zanadto prostoty ducha, nieznajomości rzeczy naszych i łatwowierności."

BADANIA NAUKOWE.

H. Nusbaum. *Historya żydów od Mojżesza do epoki obecnej*. Tom V. *Żydzi w Polsce*. Warszawa, nakładem I. Mayznera. 1890 r. 460 str.

Przed dwoma laty zaznaczyliśmy w tem miejscu ukazanie się pierwszego tomu książki p. Nusbauma. Od owego czasu autor zdążył wydać cztery tomy następne i zaokrągliwszy w ten sposób swoją pracę, zapełnił brak w literaturze naszej oddawna uczuwany. W tomie drugim podejmuje on wątek, przerwany w pierwszym, mianowicie kreśli losy żydów od chwili uprowadzenia ich w niewolę babilońską (586 r. przed Chr.) aż do zburzenia drugiej świątyni jerozolimskiej przez Tytusa (70 r. po Chr.). Tom trzeci obejmuje okres od zburzenia Jerozolimy do czasów, w których judaizm pod wpływem prądów ożywczych, rozbudzanych przez Mojżesza Majmonidesa, lekarza, filozofa i przyrodnika — na nowe pchnięty został tory (70 r. — 1232). Czwarty zaczyna się od epoki po-majmonidesowej, a kończy na dziejach współczesnych niemal, bo doprowadzonych do r. 1862. Piąty nakoniec, najobszerniejszy, bardzo luźno zresztą z poprzednim związany i doskonale osobne dzieło stanowić mogący — na tle historyi ogólnej przedstawia koleje, jakie przechodzili żydzi w Polsce od przybycia ich do kraju (pomiędzy 894 a 1080 r.) aż do dni naszych. Jeżeli cztery pierwsze tomy stanowią umiejętną wprawdzie i mozolną, lecz mniej lub więcej szczęśliwą komplikacyę tylko, za to piąty jest pracą na wskroś oryginalną, na samodzielnych studyach źródłowych opartą i pod względem formy nawet prawie niepozostawiającą nic do życzenia. P. Nusbaum ma tę wyższość nad swymi poprzednikami, powiedzmy nawiasem bardzo nielicznymi (Czacki, Kraushar, Maciejowski, Sawicki) i traktującymi najczęściej pewne tylko epoki z dziejów żydowsko-polskich, iż dostępne mu były i książki o przedmiocie obranym, pisane po hebrajsku, z których poprzednicy ci wcale korzystać nie mogli. Na tych też, że tak powiemy, wyłącznie swoich źródłach oparty, prostuje wiele szczegółów, dawniej mylnie lub niedokładnie podanych. Tak np. zwraca uwagę na błąd popełniony przez Czackiego, a powtórzony przez innych, jakoby Michał Ezofowicz, poborca podatków za Zygmunta I (1508 r.) miał być arcyrabinem i sędzią najwyższym do spraw żydowskich (str. 108—117). Wykazuje bezpodstawność pogłosek o nawracaniu chrześcian przez żydów pod koniec panowania króla Zygmunta I i o tłumnem wychodźtwie ich do Turcyi (141—153 str.). Legendę o Saulu Wahl, który w czasie bezkrólewia po Zygmuncie Auguście, przez jeden dzień jakoby miał być królem polskim (1572—1574 r.) w właściwem przedstawia świetle, redukując ją do tego, że pomieniony Wahl, jako człowiek bogaty, inteligenty i szanowany, wpływem swoim poważnym wielce przyczynił się do wyniku elekcyi ówczesnej.

Monotonię językową i stylową, niemile często rażącą w tomach poprzednich, w tomie piątym zastępuje żywe i barwne opowiadanie, a niektóre epizody, jak: o losach Frankistów, o powstaniu sekty chasydów, o sprawie z Lesznowskim, w której w charakterze rozjemcy występował Lelewel, są zajmujące i w piękną formę przybrane. Usterki językowe nader są nieliczne. Mimo najtroskliwszych poszukiwań wykrywa się ich zaledwie kilka.

Kończąc rzecz swoją wzmianką o antysemityzmie i reakcyi, jaką wywołał ten ostatni w obywatelskiem usposobieniu żydów p. N. nadziei jednak nie traci i tak mówi: „Tysiącletnie fakty historyczne aż nadto przekonały żydów, że srożące się przeciwko nim burze przemijają, że wytrwałość w wie-

---

suniętą, za krawędzią łóżka zwisającą ręką małą, suchą.

Nagle nastawił uszu, znajomy głos odezwał się znowu.

— Marcel, Marcel... ty... nie dotykaj garnka... Ah, pić — panie Szulc.

Nie było wątpliwości, tem sam głos rozbrzmiewał poprzednio, kiedyś tam (wydało mu się, że *tamto* było już dawno) w ciemności, na polu.

Wzruszenie ogromne poczęło zalewać pierś człowieka. Wsparł się on z trudem na łokciu i wychyliwszy się nieco za krawędź łóżka, nasłuchiwał z bolesnem jakiemś naprężeniem w całej swej istocie.

— Wody — wody — wody — szeptały jednostajnie i żałośnie niewidzialne w mroku usta.

Zrozumiał! Oh, teraz wszystko było jasne i czemuż to tak długo nie mógł zrozumieć takiej prostej rzeczy, iż trzeba jaknajprędzej — jaknajprędzej napoić to biedactwo. Pewnym ruchem sięgnął po kubek, stojący na stoliku, który przegradzał łóżka. Kubek był pusty.

— Wody, wody...

Niepokój jego się zwiększał. Podniósł się i przysiadł na łóżku, starając się przeniknąć wzrokiem do ciemnych zakątków sali, chciał kogoś przywołać.

— Czy jest tu kto?

Głos, jaki dobył, zdławiony był i niedźwięczny, a posługacz spał twardo. Była to ta godzina nocy, kiedy sen zdrowych a w dodatku zmęczonych ludzi staje się kamiennym.

— Wody, wody...

Wzruszenie jego dosięgło miary najwyższej. Dłużej wahać się niepodobna, woda być musi, on sam pójdzie po nią. Gdyby tego nie uczynił, zabiłby go ten szept cichy, a tak okrutny.

I począł wykonywać swe przedsięwzięcie.

Wysunął nogi za krawędź łóżka, postawił je na podłodze, zarzucił szlafrok na siebie, podniósł się... Nogi ugięły się pod nim raptownie; oparł ręce na stoliku — ręce zaczęły drżeć, drżał cały, powieki mu się przymknęły i ogniste kręgi pod niemi latać zaczęły... Ah, za słaby jest, za słaby — nie pójdzie!

— Wody, wody...

Pójdzie. Już ma kubek w ręku, już uczynił krok jeden, drugi. Ręką się trzyma za poręcz łóżka, pochwycił już poręcz drugiego, słania się, lecz postępuje... Już się opiera o trzecie łóżko.

Ah, oh! Czemuż to lampki gasną nagle, czemuż go taka nieprzeniknona ciemność ogarnia. Upadł na puste łóżko i czoło wsparł na zimnej, żelaznej poręczy. Wicher jakichś porozrywanych i splątanych myśli z hukiem przelatywał przez biedną, znękaną głowę jego, a z tym wichrem myśl najważniejsza — odleciała. Dokąd on dąży, po co? Zapomniał, zapomniał...

— Wody, wody...

Po wodę!.. Porwał się i jak zwierzę ranione wlókł swe ciało z niepojętym wysiłkiem — byle dalej, byle dalej. Oto już drzwi blizko, oto dotarł już do korytarza. Tam jasne światło oślepia go na chwilę; lecz zarazem wlewa weń nowe siły. Posuwa się opierając się o ścianę, a wtem — Boże, jakżeś dobry! — kran, kran o parę kroków od niego...

Drżącą ręką odkręcił kurek i napełnił naczynie. A gdy już trzyma w ręku ten upragniony, pełny wody kubek, taka radość go ogarnia, takie szczęście bezgraniczne, iż... ręka drgnęła, kubek się przechylił, woda chlusnęła na podłogę, a on obsuwać się zaczął po ścianie, coraz niżej, niżej.

Upadał wolno, ale zdawało mu się, że z ogromną szybkością stacza się do przepaści, a jedną tylko myśl unosił z sobą:

— Nie zaniosę mu wody!

Dwie silne ręce uchwyciły go w chwili, gdy dotknąć miał dna przepaści. Rozchylił powieki — głowa jego spoczywała na czyjemś ramieniu, a tuż nad twarzą kołysały się wielkie skrzydła białego czepca.

Wtedy ręką wskazał zakonnicy kubek leżący na podłodze, westchnął — i omdlał.

...Dzień był, gdy myśl człowieka tego znowu się ocknęła. Przytomność wróciła mu zaraz, gdy otworzył oczy, zaraz też dostrzegł zakonnicę klęczącą przed łóżkiem, na którem pod szarą kołdrą skulony leżał chłopiec — cichy — nieruchomy...

F. Brodowski.

rze przodków, w miłości bliźnich, w skrzętnej a uczciwej pracy, w przywiązaniu do rodzinnej ziemi, w poszanowaniu praw krajowych i w hołdowaniu ideałom ogółu, zabezpiecza ich zawsze i wszędzie od ostatecznej niedoli.“

Ad. J. Cohn.

ROZWÓJ WŁASNOŚCI I RODZINY.

Nauka z pewną namiętnością zajmuje się dziejami rodziny. Niema roku, aby nie ukazało się jakieś nowe dzieło w tym zakresie. Naturalnie, mówiąc to, mamy na myśli jedynie prace, odpowiadające wszystkim wymaganiom ścisłej wiedzy, tj. wychodzące z założenia, że społeczeństwo podlega, podobnie jak i każda inna część przyrody, prawom naturalnym i znajduje się w bezustannym procesie rozwojowym. Do dawnych dzieł tej treści przybyła teraz książka prof. Maksyma Kowalewskiego: *Obraz początków i rozwoju rodziny i własności* *). Praca to niewielka, zawiera bowiem około 200 stronic. Autor wyznaje skromnie, że chodzi mu tylko o jakąkolwiek syntezę zebranych już faktów, które uzupełni własnemi spostrzeżeniami nad ludnością Kaukazu. Lecz rozmiary książki nie zawsze idą w parze z jej wartością; ta zaś zaznajamia nas lepiej z niektóremi zjawiskami w dziejach własności i rodziny, aniżeli niejedno olbrzymie dzieło. Już samo łączne badanie własności i rodziny we wzajemnym ich związku świadczy, że autor zajął stanowisko szersze; przytem rozdziały, poświęcone rodzinie patryarchalnej i właściwemu jej ustrojowi religijno-ekonomicznemu, bezwarunkowo należą do cenniejszych ustępów w dotychczasowej socyologii.

P. K. nie bada, jak wygląda rodzina w najpierwszych chwilach życia ludzkości. Poprzestaje jedynie na obecnych ludach pierwotnych, u których znajduje stosunki stanowczo już określone i uregulowane ze strony prawa zwyczajowego. Prace Morgana i Fisona są dlań głównymi drogowskazami. Co więcej, rodzinę macierzystą, którą ci badacze znaleźli u ludów pierwotnych, przyjmuje jako punkt wyjścia rozwojowego dla narodów aryjskich i semickich. Jest to pogląd właśnie mocno zwalczany przez Mainee'a i kilku innych pierwszorzędnych badaczów. Kowalewski zauważa, że mieli oni wszelką słuszność odrzucać wnioski, czynione przez etnografów co do ludów aryjskich i semickich na podstawie jedynie studyów nad grupami pierwotnemi, jako też nie dowierzać Bachofenowskim próbom tłomaczenia mitów starożytnych. Lecz od tego czasu wiele okoliczności zupełnie zmieniło swoją postać. Smith Robertson, Wilken, Kohler, Dargun zwrócili się do poszukiwań w sferze prawodawstwa i wykazali tu niewątpliwe ślady pierwotnego prawa macierzystego, inni (w tej liczbie sam Kowalewski) udowodnili że jeszcze w obecnym bycie u różnych aryjczyków i kaukazczyków istnieją namacalne tradycye szczątkowe owej epoki, kiedy matka przekazywała dziecku ród swój, a ojciec był czemś obcem. U czerkiesów np. zwyczaj wymaga, aby syna nie pytano o zdrowie ojca, przeciwnie, uchodzi to za nieprzyzwoitość. Zresztą autor niedługo zatrzymuje się nad okresem macierzystym rodziny, najwięcej zajmują go czasy patryarchatu. Za źródło, z którego powstała rodzina, oparta na władzy ojca i męża, Kowalewski uważa umyczkę (tj. porywanie) dziewcząt z hord sąsiednich; umyczka ta w późniejszych czasach została zastąpiona przez kupno, to zaś ostatnie powstało z grzywny, płaconej w celu załagodzenia gniewu krewniaków porwanego dziewczęcia. Wreszcie do tego samego pobudziły jeszcze warunki bytu. Horda czerwonoskórych w wypadkach braku pożywienia rozpada się na kilka pomniejszych; kobieta, rozłączona ze swymi krewniakami, jest pozostawiona samowoli mężowskiej a wraz z tem położeniem występuje dążność ku prawu ojcowskiemu zamiast dawnego macierzystego. Zresztą ustęp ten należy do najsłabszych w książce.

Wraz z kupnem dziewczęcia zjawia się rodzina patryarchalna. Lud znajduje się zawsze już w okresie hodowli bydła lub rolnictwa. Kowalewski mniema, że większość przedstawień, krążących co do władzy ojcowskiej w podobnej rodzinie, jest z gruntu fałszywa. Grupa patryarchalna stanowiła przedewszystkiem pewną szczególną jedność gospodarczą, jaką widzimy jeszcze w południowo-słowiańskiej „zadrudze“ lub w średniowiecznej niemieckiej „Hausgenossenschaft.“ Najstarszy wiekiem mężczyzna z najstarszą matroną stali na czele, lecz bynajmniej nie posiadali owej sławnej władzy bezwzględnej, o której tyle się mówi; w swych postępkach byli oni ograniczeni przez radę rodzinną, która stanowiła najwyższą wyrocznię. Słowem rodzina patryarchalna polegała przedewszystkiem na wspólnem, komunistycznem gospodarstwie, jednoczyła pod tym samym dachem ludzi, pochodzących od tego samego praojca i wspólnie zarządzających swojemi sprawami ekonomicznemi. W Czarnogórzu lub u osetyńców jeszcze dzisiaj można spotkać takie żywe wzory klasycznej lub biblijnej rodziny patryarchalnej. Z drugiej strony jest to sojusz natury religijnej. O charakterze jego możemy powziąć wyobrażenie, w Tyrolu, starej Bawaryi i t. d. Z całem życiem rodziny chłopskiej zlała się tutaj w nierozdzielną całość wiara w duchy przodków, które wciąż znajdują się w pobliżu i opiekują się gospodarstwem. W pewne dnie roku urządzają się w chacie uczty, okna i drzwi są wtedy otwarte, aby dusze mogły wchodzić i zaspokoić swoje łaknienia. Ten kult przodków zresztą dotyczy jedynie męzkiej połowy zmarłych; tylko mężczyźni mogą być kapłanami, a raczej pośrednikami pomiędzy pokoleniem żyjącem a zmarłem; kobieta uczestniczy w kulcie jedynie pośrednio, po śmierci zaś pamięć o niej zaciera się. Punktem środkowym patryarchalnego kultu przodków było ognisko; do niego rzucano ofiary przodkom, przed niem zawierano małżeństwa, na nie przysięgano i t. d. Kowalewski mniema, że taczęść ognisko domowego pochodzi stąd, iż niegdyś pod niem chowano zmarłych przodków i że w ten sposób kult ognia był tylko zamaskowanym kultem praojców. Otóż w tej ekonomicznej i religijnej łączności tkwi źródło wszystkich zwyczajów i dalszego rozwoju rodziny patryarchalnej. Naprzód u wszystkich ludów patryarchalnych spostrzegamy silny wstręt do kobiet bezpłodnych, stanowcze potępienie bezżeństwa młodzieży męzkiej lub niezamążpójścia dziewczyny. Córka miała prawo wystąpić nawet przeciwko władzy ojca, jeśli ten nie wydawał jej za mąż, skoro doszła już do pewnego wieku. Bezpłodną żonę oddalano. Autor znajduje wyjaśnienie dla tych wszystkich faktów w tem, że mężczyzna, który schodził bezpotomnie ze świata, tem samem pozostawiał duchy przodków bez pokarmu i skazywał je na cierpienia w życiu pozagrobowem. Podobna przyczyna wywoływała owo krwawe prawodawstwo karne przeciw żonie cudzołożnej. Cudzołóstwo wprowadzało bowiem obcą krew do rodziny i stawało się powodem niezmierzonych nieszczęść dla zmarłych przodków i żyjących potomków. Mąż nie miał prawa przebaczyć żonie tego czynu; nie on sam, lecz wszyscy przodkowie i losy przyszłe rodziny były w tym razie znieważone. Tem to można sobie wyjaśnić, czemu rodzina patryarchalna, tak surowa dla cudzołóstwa, patrzyła na nie przez szpary, niekiedy zaś wprost je nakazywała, jeśli tylko ono nie wychodziło po za obręb samej zadrugi patryarchalnej. Z ekonomicznej znowu natury patryarchatu wypływają rysy, dotyczące dziedzictwa. W zadrudze nieruchome mienie jest wspólnie posiadane przez wszystkich, wychodząca za mąż dziewczyna otrzymuje pewne wiano i traci wszelkie prawa. Kto opuszcza chatę rodzinną, utraca tem samem wszelkie prawo do zbiorowego majątku nieruchomego, i t. d. Zresztą Kowalewski, wbrew utartemu poglądowi, nie uważa wielożeństwa za jakąś nieodzowną cechę patryarchalnego stanu rzeczy. Posiadanie kilku żon zwykle było przywilejem jedynie bogatych osób: u arabów np. zaledwie jedno na sto stadeł małżeńskich należy do liczby wielożennych. Już w tej okoliczności spoczywa przyczyna, która z czasem doprowadza do dzisiejszego jednożeństwa. Lecz najgłówniejszą pobudką, zdaniem autora, były względy natury religijnej. Zaznacza on, że prawodawca religijny zawsze występuje jako pierwszy i najgłówniejszy rzecznik monogamii. Przyczyna tego tkwi w ukształtowaniu kultu zmarłych przodków. Mąż bowiem czynił całopalenia rodzinne i spełniał obowiązki kapłańskie, tymczasem żona przygotowywała samą ofiarę. Następnie ona to podtrzymywała ognisko, aby nie zagasło. Gdyby to nastąpiło, kult przodków doznałby chwilowej przerwy, zmarli pozostaliby bez pokarmu, żyjący byliby pozbawieni opieki. Czynności te spełniała najpierw poślubiona kobieta. Ją też tylko uważano za równą mężowi, gdyż wraz z nim krzątała się około kultu rodzinnego. *Si tu Gaius, ego Gaia* — w tem wyrzeczeniu ślubnem starożytnego Rzymu znajdujemy streszczenie owego stosunku równości. W miarę zaś jak pierwsza żona stawała się ową „Gają,“ inne spadały do rzędu zwykłych nałożnic.

Nie będziemy wraz z autorem śledzili dziejów w ten sposób wyłonionego jednożeństwa. Kilka słów tylko wspomnimy o dziejach naszego obecnego jednożeństwa i dążności w kierunku uczynienia małżeństwa związkiem cywilnym i prywatnym. W gruncie rzeczy byłby to jedynie powrót do tego, co istniało przed kilku wiekami w świecie katolickim. Stosunki małżeńskie uchodziły za rzecz zupełnie obojętną, błogosławieństwo kościelne uważano tylko za pobożny uczynek, lecz nie za sakrament. Małżeństwo było legalne nawet bez formalności kościelnej, jeśli tylko zostały zaspokojone inne wymagania prawa zwyczajowego. Dopiero koncylium trydenckie uchwaliło sakrament małżeństwa i ogłosiło, że jest ono nieważne bez błogosławieństwa kościelnego. Z prostego aktu cywilnego związek małżeński stał się tajemnicą religijną.

Lecz w miarę jak rodzina patryarchalna rozkłada się, właściwe jej urządzenia ekonomiczne również zanikają. Dla rozpatrzenia tej sprawy, autor zatrzymuje się głównie nad zjawiskami, które zauważono na północo-wschodzie Rosyi — krainie, istotnie obfitującej w nader ciekawe a charakterystyczne procesy społeczne. Wielka patryarchalna zadruga włada całą przestrzenią gruntową niepodzielnie. W miarę rozkładu wydzielają się z pośród niej pojedyncze stadła małżeńskie, które osiadają gdzieś w pobliżu na gruntach rodzinnych i karczują dla siebie wybrany kawałek ziemi. Wobec obfitości gruntów nikt niema nic przeciwko temu. Kiedy dany kawałek ulegnie wyjałowieniu, zostaje porzucony, inny wykarczowany. Powoli liczba takich osad wzrasta, każda zamienia się na wioskę. Tu i owdzie drogą kupna weszli przybysze innego nazwiska. Lecz dawne stosunki jednakowego prawa trwają, każdy, kto pierwszy zajmie pewien kawałek, posiada prawo użytkowania, dopóki go uprawia. Tworzą się olbrzymie marki, jak owa, która zajmowała cały kanton Schwitz, lub inna, istniejąca jeszcze w 1877 r. nad Donem i składająca się z 77 olbrzymich stanic ko-

---

*) *Tableau des origines et de l'evolution de la famille et de la propriete.* Stockholm.

zackich, które na powyższych prawach wspólnie władały olbrzymią połacią ziemi. Dopiero kiedy ludność wzrośnie w liczbę na danej wspólnej przestrzeni i swoboda karczunku zostanie tem samem powstrzymaną, osady marki dochodzą do konieczności jakiegoś innego uregulowania wzajemnych stosunków i wzajemnych praw do ziemi. Odbywa się to w ten sposób, iż marka zostaje podzielona pomiędzy pojedyncze wsie, w każdej zaś wprowadza się zasadę podziału peryodycznego gruntów pomiędzy mieszkańców. Powstaje tak zwana „obszczyna,“ która jeszcze dotąd kwitnie w Wielkorosyi. W ten sposób według Kowalowskiego zadruga byłaby pierwotną, obszczyna już wtórną fazą w rozwoju własności rolnej, każda zaś odpowiadałaby rożnym okresom ewolucyi rodziny. Wreszcie z dalszem rozkładaniem się rodziny na pojedyncze i niezależne stadła małżeńskie obszczyna ulega odpowiedniemu przekształceniu. Zbiorowa własność, dzielona co pewne stałe okresy czasu i oddawana w prywatne użytkowanie, staje się rzeczą prywatną, raz na zawsze podzieloną. Autor znowu zatrzymuje się nad całym tym przebiegiem i jego przyczynami. Nie możemy mu towarzyszyć w tym rozbiorze, który jest zresztą jedynie streszczeniem kilku innych prac jego.

Kowalewskij kończy książkę swoją kilkoma uwagami co do przyszłego ukształtowania się własności ziemskiej. Są one dość niewyraźne, tak nawet niewyraźne, że nic nie mówią. Jedno tylko można spostrzedz, mianowicie, że według autora państwo kiedyś rozszerzy swe prawa mieszania się i normowania stosunków ziemskich. Lecz w jakiej postaci?

J. W.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA NIEMIECKA.

20 lutego.

Judith Trachtenberg, nowa powieść (na tle galicyjskiem) K. E. Francosa. — *Der neue Herr* nowy dramat Wildenbrucha, grany z polecenia cesarskiego w berlińskim teatrze nadwornym.

Po kilku niefortunnych próbach wyzwolenia się z koła motywów rodzimych, Karol Emil Francos, znany powieściopisarz, powrócił do tematów galicyjsko-żydowskich i znowu udało mu się napisać utwór, przypominający najlepsze jego prace. Nie jest on ani zwolennikiem szkoły idealistyczno-frazeologicznej Spielhagena, ani wyznawcą modnego naturalizmu. Nie podobna odmówić mu pewnej oryginalnej indywidualności poetyckiej, tłómaczącej się najprawdopodobniej umysłowemi właściwościami jego rasy. Posiada on umysł spostrzegawczy, a przytem dar poetycki, dzięki któremu umie wzruszać. Posłuchajmy treści jego nowego utworu, który odgrywa się w miasteczku wschodnio-galicyjskiem.

Nataniel Trachtenberg, dzięki inteligencyi i wytrwałości, zdobył sobie uczciwą pracą majątek i szacunek współwyznawców i współobywateli. Jest on żydem nabożnym, lecz nie zacofanym; dzieciom swym dał wychowanie nowoczesne. Syn Rafał, młodzieniec żyjący bardziej w świecie książek i marzeń, studyuje prawo w Heidelbergu; córka Judyta, pełna sprytu, wesołości i wdzięku, chętnie przyjmowana bywa w domach chrześciańskich. Cały stosunek rodzinny Trachtenbergów do towarzystwa chrześciańskiego przedstawiony jest przez Francosa z wielką znajomością istotnego stanu rzeczy. Młody Trachtenberg jest typem owych inteligentnych izraelitów galicyjskich, którzy wyrósłszy w sferze literatury i nauki niemieckiej, czują się żydami i niemcami, polaków zaś uważają za obcych i ciemiężycieli. Judyta, obcując od lat dziecinnych z dziewczętami chrześciańskiemi, zapoznała się z literaturą polską i chętnie bywa w domach polskich. Rafał patrzy na to niechętnie, obawiając się, że pierwej lub później dozna ona upokorzenia lub śmiałego ataku w domu chrześciańskim, będąc „tylko żydówką.“ Lecz stary Trachtenberg, przyzwyczajony do stosunków z chrześcianami w życiu codziennem, może nawet dumny z tego, że córka żyje z nimi w przyjaźni, nie broni jej tego. Judyta zaprzyjaźniła się z córką komisarza okręgowego Wróblewskiego. Wróblewscy prowadzą dom otwarty. Ona, zwiędła kokietka, utrzymuje równocześnie dwa związki: z oficerem i z księdzem. Mąż nie wiele się o nią troszczy. Jest to człowiek na wskroś zdemoralizowany, urzędnik przekupny, znany szuler, ogrywający szlachtę okoliczną. Na cześć młodego magnata, hrabiego Agenora Baranowskiego, który kupił dobra w pobliżu miasteczka, Wróblewski urządza wielką u siebie zabawę, na której rozgrywa się los Judyty: jakiś rozweselony młodzieniaszek zaczepia ją w sposób obrażający. Lecz Judyta znajduje obrońcę. Jest nim rycerski hr. Baranowski, którego ona od pierwszej chwili silnie pociągała, a który obecnie gotów jest narazić życie w obronie jej honoru. Wprawdzie ugoda, hańbiąca dla przeciwnika, usuwa pojedynek; lecz zajście to uświadomiło uczucia rozbudzone w sercach obojga młodych ludzi, a Judyta, zbałamucona namiętnością własną, zapomina o ojcu i bracie i ucieka z hrabią, który w niej się rozkochał.

Wróblewski zrozumiał doskonale sytuacyę i wyzyskuje ją zręcznie. Wie on, że Baranowski nie zdecyduje się na poślubienie Judyty, więc ofiaruje swe usługi dla oszukania uwiedzionej dziewczyny. Znajduje jakieś nędzne indywiduum, które za grube pieniądze odgrywa rolę księdza, udziela chrzest Judycie i łączy młodą parę. Sądząc, że jest prawną małżonką hrabiego, Judyta wyjeżdża z nim do Włoch, gdzie zostaje matką. Tymczasem Wróblewski tak gospodarował w dobrach hrabiego, że tenże na czas krótki musi wrócić do Galicyi. W tym czasie Judyta dowiaduje się o prawdziwym stanie rzeczy od tego samego człowieka, który przed rokiem ślub jej dawał. Oburzona zdradą i poniewierką, pragnąc dziecku swemu zabezpieczyć należne prawa, żąda od Agenora ślubu, a po walce, w której ten poznaje dumny i szlachetny charakter uwiedzionej przezeń kobiety, związek zostaje istotnie zawarty w Weimarze, gdzie wówczas dozwolone były śluby cywilne. Judyta została hrabiną Baranowską, nie przyjąwszy nawet chrztu. Zdawałoby się, że czasy smutne minęły dla niej. Lecz Francos jest zbyt dobrym psychologiem, aby mógł przypuścić, że po takich przejściach możliwe jest szczęśliwe pożycie młodej pary.

Judyta wraca do miasteczka rodzinnego, zastaje tylko brata, który żyje samotny w domu rodzinnym. Ojciec umarł, dowiedziawszy się o jej ucieczce. Przed śmiercią wyklął córkę, tak niegdyś ukochaną, wykreślił ją ze swego serca i pamięci. Opis sceny, w której stary Trachtenberg wykonywa niejako wyrok śmierci na nieobecnej, należy do najcelniejszych ustępów nowej powieści. Podajemy go w tłómaczeniu. „Niebawem weszli do pokoju naczelnicy kahału, z nimi rabin; wszyscy, otuleni białemi płaszczami, w których żydzi się modlą, uchylili przed nim czoła, zapytując, czy ceremonia odbyć się może. Skinął głową: wówczas dwunastu członków bractwa pogrzebowego wstąpiło do pokoju. I oni byli ubrani w białe opończe; a ten, co szedł na przedzie, dziwny niósł ciężar: był to krzew róży, piękny, wielki, kwitnący, na którego korzeniach czarna jeszcze leżała ziemia. Zanieśli krzew ten do łoża Nataniela, który wyciągając rękę, zdawał się szeptać błogosławieństwo, czy słowa pożegnania. Następnie odeszli z krzewem na środek pokoju; wystąpił rabin, przykrył go ręką i wyrzekł głośno słów parę. Była to klątwa. Uchwyciwszy potem krzew w obie ręce, połamał go i rzucił na ziemię. Jeden po drugim zbliżał się doń teraz, a uszczknąwszy kwiat róży, targał liście i rozrzucał je, aż krzew pozostał bez liści. Z zamkniętemi oczyma spoczywał starzec na łożu; lecz ciche westchnienie wydobywało się z jego piersi, a po licach łzy mu spływały. Tak też leżał, kiedy wniesiono lampę olejną i postawiono ją jako światło duszy dla tej, która ojcu i gminie na zawsze zmarła.“

Połamane gałęzie krzewu zakopano na cmentarzu obok mogiły matki Judyty. Lecz niebawem grób ten otworzył się dla przyjęcia zwłok tej, na którą czekał: Judyta, złamana żalem po ojcu i przykrościami, skoczyła do stawu przy zamku, a jako niewychrzczona pogrzebaną została na cmentarzu żydowskim.

Smutne te dzieje opowiada Francos w sposób prosty i wzruszający. Miejscami tylko razi pewna afektacya stylu. „Judith Trachtenberg“ nie oznacza nowego okresu w twórczości autora i w rozwoju talentu, lecz nie spada poniżej najlepszych dzieł jego.

Na scenach niemieckich, po dramatach Sudermanna i Hauptmanna, nie pojawiła się sztuka, któraby wyższą wartością zwróciła na siebie uwagę. Natomiast była publiczność berlińska świadkiem dziwnego a niesmacznego połączenia polityki z poezyą, dokonanego przez Wildenbrucha, przy pomocy jego możnego protektora, cesarza Wilhelma II. Donosiliśmy w jednym z listów poprzednich, że Wildenbruch, którego sztuki historycznej „Der Generalfeldoberst“ nie wystawiono na scenach niemieckich wskutek zakazu kancelaryi cesarskiej, wyraził żal swój w dramacie p. t. „Haubenlerche,“ że po długoletniej, wiernej służbie poetyckiej doczekał się srogiej niewdzięczności od dworu, wskutek czego wypada mu chyba zostać poetą niezależnym. Cesarz zrozumiał skargę swego radcy legacyjnego i oświadczył, iż interesuje się bardzo najnowszym jego utworem. Naturalnie utwór ten wypadł istotnie według życzeń monarchy. Wildenbruch, widząc, iż „łaska pańska“ znowu uśmiechać się mu zaczyna, porzucił dzikie, rewolucyjne swe myśli, i napisał odpowiedni dramat. Dzienniki donosiły, że tytuł utworu brzmieć będzie: „Der neue Herr,“ że Wilhelm II poetę zaprosił do siebie i wysłuchał pracy jego z rękopisu, wreszcie, że ona wystawiona będzie na wyraźne polecenie cesarskie w teatrze nadwornym. Wypadek podobny nigdy w Berlinie się nie zdarzył. Teatr był tedy przepełniony, a publiczność z niemałem zajęciem wyczekiwała podniesienia się kurtyny. Lecz zaraz po pierwszych scenach zrozumiano, o co chodziło — nie o literacką wartość nowego utworu, lecz o aluzye do stosunków politycznych, stanowiące główną zawartość sztuki. Cesarz mógł być zadowolonym: rzadko bowiem zręczniej i śmielej zarazem schlebił poeta władcy.

Wildenbruch pomny, że dramat historyczny „Die Quitrows,“ któremu głównie zawdzięcza swe powodzenie, zaczerpnięty był z historyi brandenburskiej, przejrzał raz jeszcze jej karty i znalazł, czego szukał. Młody książę brandenburski, zwany później „wielkim elektorem,“ w chwili, kiedy obejmuje rządy, całą władzę państwową widzi w ręku ministra Schwarzenberga, głównej podpory jego zmarłego ojca. Są to czasy wojny trzydziestoletniej, a hrabia Schwarzenberg jest narzędziem cesarza i stronnictwa katolickiego. Młody książę panuje, lecz jest bezwładnym. Ale niedługo trwa ten przykry stosunek: kilku młodych oficerów uknuło spisek, hrabia Schwarzenberg ginie wraz z spiskowcami, a młody elektor funduje państwo pruskie. Trudno o bardziej przejrzystą aluzyę. Dzielny elektor,

to cesarz Wilhelm, hrabia Schwarzenberg, to książę Bismark. Paralela ta przeprowadzoną jest w sposób poddańczy, bez najmniejszego wysiłku poetyckiego. Wildenbruch wolał Schwarzenberga uczynić zdrajcą stanu, zasługującym na śmierć, tchórzem, ginącym nędznie.

Zastanawiając się nad założeniem, jako nad tematem, przyznać trzeba, że nie brak mu potęgi, że Shakespeare lub nawet Grillparzer z założenia podobnego wysnuliby dramat pierwszorzędny. Wiadomo, że Wildenbruch w swych utworach historycznych naśladować usiłuje Shakespeare'a hałaśliwością akcyi, walkami odbywającemi się na scenie itp. Lecz oto i wszystko, co nam przypomina wzór klasyczny. Brak ześrodkowania akcyi, wysuwanie coraz nowych motywów, rozwlekłość („Nowy pan" obejmuje 7 obrazów i trwał do północy) — oto wady tego najsłabszego z utworów Wildenbrucha, który najwięcej przyniósł mu zaszczytów. Nadto język, naśladujący z afektacyą dawny wiersz niemiecki, spadał kamieniem w uszy słuchaczów, jak się wyraził jeden z krytyków berlińskich. Nie pomogły ustępy patryotyczne, obliczone na rozentuzjazmowanie publiczności. Nie pomogła nawet apoteoza końcowa, w której wielki elektor podnosi małego chłopaka berlińskiego, i przepowiadając powszechny obowiązek służby wojskowej, zowie go „Reichsapfel." Mimo iż widziano cesarza i całą niemal jego rodzinę w lożach, publiczność zachowywała się nader chłodno; po pierwszych aktach wśród oklasków słyszano syki, przy końcu zaś ostentacyjnie wołano nie Wildenbrucha, lecz reżysera Grubego, który wystawił sztukę z nadzwyczajną starannością w kostiumach i dekoracyach. Zato monarcha objawił poecie raz jeszcze najwyższe swe zadowolenie, a reżyserowi, oraz aktorowi Mostkowskiemu przesłał szpilki brylantowe.

Czasy się zmieniają. Hrabia Szwarzenberg musiał zginąć, Bismark zaś żyje jeszcze spokojnie. Podczas gdy elektor brandenburski z ministrem ojca swego walczył na śmierć i życie, ex-kanclerz niemiecki ciska na młodego cesarza *interwiewami*, a ten odpowiada dramatami. Prawdziwie, rzec by można, że to cywilizowane czasy, że to walka sielankowa, gdyby nie ostatnie zajścia, przy których Wilhelm II zajął stanowisko młodego elektora. Owe „podniesienie pięści zaciśniętej," o której donosiły pisma, nie jest pono obojętnym objawem, cesarz obrażony rozporządza środkami, które sielankowy spokój Bismarka niemile zakłócą, a dramat Wildenbrucha znajdzie może ciąg dalszy przed trybunałem generałów pruskich.

Ladawa.

ŚROD MUZ.

IV.

Jeśli kogo trapiła myśl, co zrobiłby, zostawszy nagle posiadaczem 3,000 rs., to teraz może już spać spokojnie; albowiem p. Podkowiński wskazał mu cel obrazem swym, przedstawiającym „Kobiety przy bilardzie," a ocenionym na taką właśnie sumę.

Ludzie ruszają ramionami na widok tej olbrzymiej cyfry i dziwić się im niepodobna. Kto wie jednak, czy się artyście nie wyrządza krzywdy, biorąc owę etykietę płótna na seryo? Należałoby może sądzić raczej, iż ogromna trójka z trzema zerami jest dziełem impresyonistycznie rozbrykanego pędzla, obliczonem na to, by je oglądać z daleka, a z daleka właśnie znika ono dla oczów.

Mniemam, że takie rozwiązanie zagadki jest zarówno w interesie widzów, jak i p. Podkowińskiego, który za wiele dobrego smaku okazał pewnymi momentami swego utworu, ażeby go można było pomawiać o intencyę niesmaku w kartce, przylepionej do ramy. Boć nie byle kto zdobyłby się na taką naturalność i powab układu całego grona bądź grającego, bądź okalającego bilard. Owa pani, co przysiadła na burcie, ażeby wpędzić bilę do narożnej łuzy i dlatego trzyma kij prostopadle — ma w swojej pozie i ruchu wdzięk niepospolity, a przecież całkiem wytłomaczony i jeżeli motyw ten jest wynalazkiem podpisanego pod obrazem, to z pewnością sam przez się stanowi tytuł do oklasku. Zarówno figura, jak i wysunięta z pod króciutkiej spódniczki noga, jak i cała arabeska postaci są wysoce estetyczne, zgrabne, usprawiedliwione i nowe.

Wogóle wybór tematu celuje tu dwiema zaletami i jeszcze przed rozważeniem roboty samej powinien być wzięty w rachubę i poczytany za zasługę autorowi. Te dwie zalety — to najpierw dowcipne pogodzenie częściowej nagości z brakiem konwencyonalnej klasyki, panie bowiem zdjęły z siebie zwierzchnie ubranie — a powtóre rodzaj światła. Ażeby módz pojąć zamiar artysty, trzeba sobie uprzytomnić tę osobliwą scenę, jaką daje sala bilardowa w porze wieczornej gościowi, który nagle do niej wchodzi: dużo światła pada na zielone sukno i dolne połowy ścian, dokoła których siedzą bilardowi goście; cała niższa warstwa pokoju tonie zwykle w pewnego rodzaju łunie, która poniekąd oślepia i zaciera kontury i rysunek osób; górna zaś dzięki reflektorom lamp stoi w cieniu, a z nią i wszystko, co jest po za obrębem skierowanych w dół promieni gazu.

To chyba szczególne wrażenie miał na myśli artysta i przyznać musimy, że niektóre części zadania udały mu się bardzo dobrze, zwłaszcza iż ulatwił je sobie jaskrawym kolorem niektórych strojów i tym sposobem wprowadził w grę drugorzędne jakoby źródła światła; jest też ono w niektórych miejscach silne i lśniące, jak np. w gorsecie damy stojącej po lewej stronie, a głównie w profilu całym jej partnerki, wystawionej zupełnie na światło; ręka, pierś, twarz występują z wielką prawdą i urokiem. I samo powietrze przesycone jest światłem, ale to już, niestety, robi prędzej wrażenie szkarłatnego deszczu, który ukośnemi, twardemi i grubemi smugami pada z góry. Na tym punkcie metoda pana Podkowińskiego zawiodła go zupełnie. Za to dobrym jest ton sukna zielonego z padającemi na nie pyłkami czerwonych refleksów; ten niby opar unoszący się tu i owdzie nad samym bilardem, ma swą lekkość i nieuchwytność dzięki temu, że artysta zręcznie kładł farbę zieloną na podmalowanie czerwone.

Twarze pań drugoplanowych, wyraźne już tylko jako świetlne plamy, albo raczej jako okrągłe placki, wysadzane rodzynkami po obu stronach nosa, nie zachwycają co prawda, ale wierzmy, że to prawdziwe typy paryskie.

Oglądaliśmy to płótno i we dnie i wieczorem, za każdym razem podziwiając ten dziwny sposób malarskiego pędzlowania, który jednak daje na odległość masę powietrza i doskonałe uczucie wgłębiania się terenu, nie szkodząc bynajmniej rysunkowi, jak się boją niektórzy — ale z ręką na sercu wyznać musimy, że owo wrażenie dodatnie osiągnąć się daje tylko drogą pewnego wewnętrznego gwałtu, drogą oderwania się myślą od gamy tonów, która jest nadzwyczaj wysoką, nieprawdopodobną i chyba niemożliwą. Czy p. Podkowiński potrafi wytłomaczyć się z jajecznej żółcizny, którą ma jego światło gazowe, w farbkowej niebieskości cieniów? Żadną miarą! Sposób nakładania farb, właściwy mu, jest skuteczny i widać celowy, skoro np. falbana na spódniczce głównej graczki wprost zjednywa nas swą miękością, mimo że z bliska wygląda, jak np. wnętrze garnka pokojowego malarza.

Wiele zaś innych przymiotów obrazu powstało całkiem niezależnie od impresyonizmu; w pierwszej linii, dajmy na to, owa siedząca na bilardzie dama; piękna jest dla rysunku, dla szyku w ubiorze półnegliżowym i tak mile kokieteryjnym, jak tylko bywają kobiety Guy de Maupassanta. Ten dobry smak, to — wpływ Paryża, ale nie epigonów Maneta.

Czy ubranie tego płótna w szerokie festony z ciemnego aksamitu dodaje mu powagi i czy na ogólny jego koloryt i tak już wykłuwający oczy, dobrze oddziaływa, to chyba prędzej sprawa sumienia Salonu, niż malarza...

Druga z wybitniejszych nowości składa się z całego cyklu płócien, bo aż pięć ich jest. Wyszły z pod pędzla p. Jacka Malczeskiego i zasługują daleko więcej na uwagę, niż powitane swego czasu z entuzyazmem „Fauny i nimfy" p. Piotrowskiego. Tak na pozór odmienne treścią dwie te kreacye należą jednak do tego samego rodzaju i są owocem dobrej chęci połączenia w malarstwie motywu mitologicznego, legendowego z charakterystycznym swojskim. Tylko że pomysł Piotrowskiego po za ładnym pejzażem jest nieudolnem echem fantazyi Arnolda Böcklina, zaś cykl świeżo wystawiony nie spełnia tak ryzykownej roboty, jak przeszczepianie duchów greckich na grunt polski, wiejski i niemal chłopski.

Malowidła p. Malczeskiego zawadziły o myśl daleko wdzięczniejszą i bardziej naturalną, miał on bowiem oczywistą pokusę zobrazowania naszych podań ludowo-romantycznych. Taką fabułę można już ubrać w formy o tyle, o ile realne z mniejszem pogwałceniem logiki i szczerości. Żywioł pogański tak, jak go poetyzował w *Balladynie* lub *Lilli Wenedzie* Słowacki, albo w swem romanzero Mickiewicz, nadaje się dosyć dobrze, podobnie jak i baśni nasze, do uzmysłowienia sposobem całkiem nowym, spółczesnym.

Ale w tem właśnie sęk, jak stopić dwa to piękne pierwiastki: fantazyę i realizm przedstawienia — w jeden? Nie ma prawie artysty, któryby nie próbował, ale nie ma u nas takiego, coby z próby wyszedł zwycięzko.

Zobaczmy, jakie są plany tych usiłowań u Malczeskiego, jak zabawna wyłazi na wierzch fastryga dwóch niezręcznie zeszpionych skrawków. W pierwszym zaraz obrazku boginka ukazuje się małemu chłopcu, którego następnie uwodzi, topi i do nieba unosi. Otóż ma ona miły pozór wiejskiej dziewoi, otulonej fartuchem i siedzi na... dziewannach, mimo że reprezentuje wagę co najmniej jakich 150 funtów. Gdybyż choć wybrała sobie osty! Kłuły by co prawda, ale są twarde i sztywne, zaś dziewanna? Prawda, że jest poezyi pełna, ale cóż kiedy niemożliwie wiotka i wątła; jej pręcik pod chrabąszczem się ugina. I gdybyż choć, przejąwszy się swą honorową wielce rolą, stała wyprostowana, udając... bambus! Nie, każdy badyl na inną stronę się wykręcił a jednak nie złamał!

Na innym znów obrazie chłopak już wyrosły w męża leży jako topielec nad brzegiem jeziora, dajmy na to Świtezi lub Gopła, a nad nim złośliwie uśmiechnięta wodnica, która go w toń zdradnie zwabiła w chwili, gdy łowił ryby, jak to znów widać na innem płótnie. Jeśli to ma być istota z rodu rusałek, to mogą one niby rekiny lub wieloryby wywracać całe okręty. Ogromna jest, barczysta, twarda i mocna w nogach i postawie, jak grenadyer Fryderyka Wielkiego, a przytem błysk jej oczów i uśmiech, mające wyrażać radość z podstępu, są tak nieporównanie ucieszne! Gdyby ktoś pokonał ją samą a resztę sceny zakrył, można by się domyślać, że ta Kaśka Karyatyda przed chwilą probowała się na pięście z parobkiem i powaliła go, a teraz stoi oto tryumfująca i niby zalotna. Powiadam niby, gdyż nie jest to właściwie żaden wyraz, lecz prze-komiczna parodya wyrazu.

O wiele lepiej powiódł się artyście moment cyklu, w którym dziewuchy wiejskie czerpią konwiami wodę z jeziora, przy świetle księżyca i widzą, jak wodnica trzymając w objęciach topielca mknie ku niebu. I tutaj widziadło owo jest zbyt grube i materyalne i w takiej formie nigdyby się nikomu ukazać nie mogło, ale za to prawdziwemi są pora i warunki w których zazwyczaj lud halucyancyom swym podlega.

Ogółem biorąc, autor jest lepszym, gdy maluje typ i charakter, a bardzo przykrym, gdy igra z fantazyą, i właściwie, jeśli płótna te mają jaką wartość po za udatnie wybranym, ale nieszczęśliwie wykonanym pomysłem — to dla swych figur realnych. Dziatwa chłopska, ciekawie i z przestrachem przyglądająca się boginee zaraz w pierwszym akcie tragedyi, jest całkiem dobra, z wyjątkiem chłopca bohatera. Osłupienie jego maluje się w jeżem stojących włosach i wybałuszonych oczach, ale to w sposób znowu nieoszacowanie komiczny i fałszywy. Jeszcze więcej charakteru posiadają dziewuchy, czerpiące wodę w akcie ostatnim, niezładne, nieestetyczne w ruchach a mimo to, a może właśnie dla tego doskonale zaobserwowane. Osobna wzmianka należy się boginkom wodnym, które kołem otoczyły trupa, leżąc na brzuchach. Obnażone ręce są dobrze mięsiste i prawdziwe w tonie; satysfakcya uwodzicielek z pewną siłą nawet wypisana w twarzach. Nawet jako oddzielna grupa są ciekawe i oryginalne, za to znów licha wart chłopak łapiący ryby: co on czuje i myśli? Z pewnością p. Malczeski również mało wie, jak my; do jakiego plemienia należy, czy jest cyganem, czy słowakiem, czy polakiem, również trudno odgadnąć.

Zwracamy uwagę czytelnika na arcydzieło rysunku, jakiem jest grupa zawieszona w powietrzu. Widać tam napęczniałe, niewiadomo dla czego, policzki rusałki i długie, bezwładnie zwieszone ręce nieboszczyka. Ale gdzie jego głowa? Po wielu, wielu mozolnych domysłach i poszukiwaniach, zaczynasz wierzyć, że jest nią ogromny, czarny trójkąt, z przytępionym wierzchołkiem i punkcikiem, który robi wrażenie guzika od chwastu na fezie tureckim. Potworny ten czarny fez to ma być głowa, zakryta zewsząd zmokłemi włosami i tak niemi oblepiona, że profil przedni i profil tylny stały się matematycznie jednakowemi. W tym wypadku mamy przynajmniej niepodrabianą fantazyę...

Ważną w tym cyklu rolę gra pejzaż, jest on tu i owdzie ładny, tam zwłaszcza, gdzie widać powierzchnię wody tajemniczą i ciemną od gęstych konarów okalających je drzew i cieniów zarośli. Fatalnie wypadło światło niewidzialnej tarczy księżyca, które ma się niby rozbryzgiwać w falach wody. Pada więc słup jasnych okruchów, z kształtu i koloru idealnie podobnych do ziarnek ryżu. Snadź rozsypał się w górze cały worek...

Cezary Jelenta.

LITERATURA POLSKA.

S. Grudziński. *Żona artysty.* Powieść obyczajowa. Kraków. 1891.

Powieść ta zwiększyła spuściznę literacką zmarłego pisarza, ale wawrzynów pamięci jego nie przysporzy. Gdyby w szeregu swych siostrzyc znalazła się za życia autora, nie wyróżnilibyśmy jej z pewnością, cech oryginalnych pozbawiona, ani lepsza ani gorsza od innych, do ogółu bliźniaczo podobna, dostroiłaby się wyśmienicie do ogólnego tonu tych utworów i przeszłaby, nie przywiązawszy do siebie żadnego odrębnego wrażenia. Podana zaś do ręki dzisiaj, trąci anachronizmem.

Grudziński był to umysł w naturze swej określony jasno, przy miernem uzdolnieniu zawczasu do stałej foremki przyrosły i żadnych niespodzianych zwrotów nieobiecujący. Ckliwym idealizmem odbrzmiewał on zawsze tak wyłącznie, że poprostu musiało tam być brak strun, z których wydobyć by można jakikolwiek inny ton. Formę pisarską posiadał również już wyrobioną. Pomimo to jednak trudno przypuścić, żeby z biegiem czasu nie nastąpiły jakieś zmiany w duchu i formie, zmiany choćby powierzchowne, przymusowem lub nawet bezwiednem ustępstwem dla nowych wymagań i górujących w literaturze prądów będące. Bo choć współczesny kodeks realistyczny nie jest ani nieomylnym, ani wiecznotrwałym, ale nie ulega wątpliwości, że pozostawi on trwale pewną ilość zasadniczych pojęć o estetyce powieściowej i że pojęcia te dziś już są badzo rozpowszechnione i głęboko wpojone. Jeśli kto z piszących wzdryga się jeszcze na widok elementarza realizmu, to są to już raczej wstręty teoretyczne, okazywane dla honoru własnej zasady, która w praktyce zdradzana jest w imię konieczności, narzuconej przez gusta rozbudzone w szerokiem kole czytających. Gdyby więc Grudziński żył, kto wie, czy w epoce, w której powieść jego otrzymujemy, nie byłby zrzekł się jej napisania lub też pisząc, nie przyjął na uwagę owego elementarza. Nieznajomość zaś jego jest w powieści „Żona artysty" uderzającą.

Mimowoli przychodzi mi na myśl w tej chwili kolekcya znanych *Femmes des artistes* Daudeta. Z drobnych tych szkiców plastycznie i żywo wynurzają się typy obleczone w wyraźne kształty indywidualne. Tu zaś z rozwlekłej powieści nie dobędziemy nic nad szablon martwy, bez pozorów życia nawet, w którym daremniebyśmy szukali odbicia charakteru i indywidualności, ale za to możemy znaleźć *ideę*, taką np.: że żona artysty, jeśli kojarzy w sobie wiele rozmaitych zalet, może nietylko nie być kulą u nogi dla talentu męża, lecz przeciwnie może zostać jego dobroczynnym aniołem. Odkrycie to posiada bezwątpienia swoją wartość, trudno w niem jednak widzieć dostateczne wynagrodzenie za przeczytanie kilkuset stronic. Ani bohater, ani bohaterka nie sprawiają wrażenia żywych, prawdziwych ludzi. Cóż z tego, iż wiemy, że Halina była łagodną, pobożną, skromną i posiadała naturę głęboką, uczuciową, skłonną do poświęceń — kiedy pomimo tych i wielu innych szczegółowych wskazówek nie możemy sobie kobiety tej przedstawić. Mąż jej, artysta Horski, była to „namiętna, artystyczna natura." Czego może nas ogólnik ten nauczyć? Czy w samej rzeczy ta jakaś artystyczna natura ma być rodzajem *carte blanche* na spełnianie psychologicznie nieuzasadnionych czynów. Horski, kochając czule swoją żonę, jednocześnie zaczyna szaleć za jakąś Bronisławą z racyi swojej „namiętnej, artystycznej natury," potem rozczarowywa się co do tej drugiej i znów uwielbia żonę — zapewne z racyi „szlachetności" swej natury. Niesłychanie prosty sposób motywowania ludzkich uczuć.

Obrazem obyczajów powieść ta również nie jest. Dotykając w paru blado skreślonych scenach życia „cyganeryi artystycznej," nie daje ona o niej i jej obyczajach prawdziwego wyobrażenia.

F. B.

OSTATNIE UTWORY H. SIENKIEWICZA.

I.

W krytyce zdarza się to samo, co w życiu: ludzie roznamiętniają się własnymi wyrazami. Upodobali sobie coś, więc głoszą: dobre, bardzo dobre, najlepsze, nieporównane, boskie! Nie lubią czegoś, więc wołają: złe, liche, najgorsze, wstrętne, djabelskie! Wymawiając: dobre lub złe — nie myślą jeszcze o wyższych stopniach swego zachwytu lub odrazy, ale powoli, podniecając się swojemi słowami, zwłaszcza wobec zdań przeciwnych, przechodzą dalej gamę pochwał lub nagan aż do ostatniego ich tonu — czci lub zniewagi. Całą tę gamę odśpiewała nasza krytyka na benefis Sienkiewicza. Był on w postępie rosnącym kolejno autorem: zdolnym, utalentowanym, niepospolitym, wielkim, genialnym, jedynym. Wyżej czapki na wiwat wyrzucić nie można, więc od pewnego czasu, kiedy na głowę twórcy *Potopu* włożono potrójną koronę: Homera, Shakespeare'a i Mickiewicza, krytycy zapewniają go tylko o swych uczuciach wiernopoddańczych, karząc surowo wszelki bunt przeciw królikowi naszej literatury. Otoczony takim majestatem dogadza on tylko pragnieniu swego umysłu, a nie potrzebie swej sławy, gdy pisze utwory artystyczne rzeczywistej i wysokiej wartości; mógłby bowiem ogłaszać swoje listy do krawca, księgarza lub znajomych, a bałwochwalczy chór z równą gotowością padł by na kolana i rozsławiał te „małe arcydzieła." Przyznać winniśmy, że nie nadużywa on tego bezmyślnego kultu, ale zeń czasem korzysta. W noworocznym numerze *Kuryera warszawskiego* pomieścił powiastkę p. t. „Wyrok Zeusa," a w styczniowym zeszycie *Biblioteki warszawskiej* — „In tenebris lux lucet." W pierwszej opowiada daremne wysiłki Apollona przy uwodzeniu przekupki ateńskiej, druga zaś jest sentymentalnym obrazkiem artysty, który stracił żonę i umiera w przywidzeniu, że ona go unosi z ziemi ku niebu. Gdyby Bałucki kazał Zeusowi zawyrokować, że tylko głupia kobieta oprzeć się może Apollonowi — krytyka skrzywiłaby się cierpko na ten sens moralny; gdyby biednemu artyście Ilnicka urządziła jazdę do nieba — powiedzianoby, że tę przyjemność należy pozostawić w monopolu operowej kochance Fausta. Ponieważ jednak dwa te obrazki nakreślił Sienkiewicz, więc wysłuchaliśmy całej litanii uniesień, począwszy od „wzniosłej poezyi" aż do „małych arcydzieł." Tymczasem są one bardzo zwyczajnymi utworami, pod którymi możnaby położyć pierwsze lepsze nazwisko literackie.

Chociaż zbiorek p. t. „Ta trzecia" miał już dwa wydania i chociaż obnoszony był w uroczystej procesyi z hymnami uwielbienia po prasie, nie oceniliśmy go, gdyż nie mając dla siebie roli w tej reklamie, nie widzieliśmy obowiązku nadawania wagi rzeczom, której one nie posiadały. Powracamy zaś dziś do tej książki w związku z najnowszym, innej miary i wartości utworem Sienkiewicza — „Bez dogmatu."

„Ta trzecia" jest wesołą opowieścią miłosnych dziejów i zalotów malarza, rozsnutą na tle życia cyganeryi artystycznej. Od początku do końca błyszczy się ona humorem farsy, który to i owo uwydatnia, odtwarza, ośmiesza, ale płynie strumieniem płytkim. Muza tu gzi się, płata figle, zalzawia sobie oczy śmiechem, ale jej wesołość jest zapustną, swawolną, bardzo młodą. Ot zaraz pierwszy jej koncept. Dwaj przyjaciele wybrali się w góry. Mrok ogarnął ich w chwili, gdy znajdowali się na przełęczy. Z początku szli po niej, ale gdy się zwęziła, usiedli jak na grzbiecie konia i tak przepędzili noc całą w przekonaniu, że po obu stronach ostrego grzebienia góry rozwiera się przepaść. Rzucając w otchłań kamienie, nie słyszeli ich upadku. Dopiero gdy świt zajaśniał, spostrzegli, że siedzą „na skalistym grzbiecie, zapuszczającym się w łąkę, która leży może o *półtora łokcia* poniżej." Takie prawdopodobieństwa przewijają się w „Tej trzeciej" ciągle.

A jednak w niej wyraził się talent autora stosunkowo najwidoczniej. Inne bowiem utwory w tymże zbiorku świadczą tylko albo o lekceważeniu przedmiotu, albo o niemocy. W mieście amerykańskim Antylope tłumy zbiegły się do cyrku na występ strasznego wodza („Sachem") Czarnych

Wężów, który przeraziwszy widzów swą mową, wyłusnął się ze skóry jako zwykły niemiec. Opis tego złudzenia jest dość powszednią szaradą literacką, w której na ostatniej stronicy mieści się nieoczekiwane rozwiązanie znaczenia poprzednich. Że Sienkiewicz jest znakomitym malarzem, że nawet główna moc i urok jego talentu spoczywają w tej zdolności, nikt zaprzeczyć nie może; że on umie kreślić wdzięczne „sielanki"—tego także dowiódł; ale że „Sielanka" w obecnym zbiorku jest „obrazkiem leśnym" na prędce sfabrykowanym — to dostrzeże każde nieuprzedzone oko. Nie ratuje jej artyzmu ani idealny nastrój wiejskiej dziewoi, chodzącej i drzemiącej w lesie, ani jej wieczorna modlitwa (jest to zwykły środek Sienkiewicza dla wytwarzania chwil uroczystych), gdyż całość jest zrobiona sztucznie. Brandes, rozbierając pieśni Heinego, wykazuje mu cały szereg dowolności w malowaniu natury, której poeta każe *czerwienić się* w blasku księżyca, słyszeć *chichotania* fijołków itp. Gdyby krytyk duński z tym sam ścisłym sprawdzianem przystąpił do „Sielanki" naszego autora, odkryłby dziwy daleko większe. Mamy „wigilię Zielonych świątek — maj — wiosnę." W tej to porze „na polach zboże kłaniało się *złocistą* falą i szeleścił ciężki kłos pszeniczny"; „gorąco było na świecie, ale w lesie *chłodno*"; „w lesie jednak między sosnami *gorąco* już było i choć w cieniu powietrze drgało *parnem gorącem*" Słowik śpiewał a „rolnik przewracał pług ostrzem do góry i spieszył do chaty." Tak zrobiony obrazek przypomina litografie, w których włosy bywają zielone a trawy granatowe, w których czerwony jeździec siedzi na fijoletowym koniu.

Nie ma tych sprzeczności i podrobień natury w opisie „puszczy Białowiezkiej," ale nie ma też nic nadzwyczajnego. Jedynym klejnotem tego obrazka jest wprawiony weń ustęp z *Pana Tadeusza*; zresztą zwykłe, bardzo zwykłe opowiadanie.

„Walka byków" daje jasne i dokładne wyobrażenie o tej dzikiej zabawie hiszpanów, nie zawiera wszakże nic więcej nad to, co by nam powiedziała dobra korespondencya z Madrytu.

„Wycieczka do Aten" przekonywa tylko, że Sienkiewicz w swym talencie nie posiada nerwu, którym mógłby odczuć wielkość i wspaniałość świata klasycznego. Sam on, jak gdyby uświadamiając sobie ten brak i usprawiedliwiając suchość swego opisu, zastrzega, że nie jest helenistą. A jak daleco nie jest — uwierzyć trudno. Zdawałoby się, że każdy człowiek ukształcony, wrażliwy, cokolwiek obeznany z czarującemi dziejami Hellady, wstępując na tę ziemię, której każda garść stanowi drogocenną relikwię, po której snują się dotąd wielkie cienie przeszłości, doznałby głębokiego wzruszenia, przemówiłby jakimś językiem łez i ognia pełnym. Tymczasem Sienkiewicz stracił na tej ziemi siłę umysłu, po prostu zmalał. Patrzy, podziwia, to i owo przypomina, ale wszystkie jego myśli nie budzą w czytelniku dreszczów, tak są chłodne i powszednie, jak uwagi w notatniku turysty. Od Pireusu wjożdża do Aten—woźnica odwraca się na koźle i mówi: to Akropolis. Akropolis! Czy w języku ludzkim jest wyraz wymowniejszy? Sienkiewicz tak go przyjmuje, jak gdyby mu kto powiedział: patrz pan, to Sukiennice! Bo nawet gdy ogląda tę nieśmiertelną pamiątkę historyi, robi mu się „coraz bardziej swojsko." Widzi w ruinach Partenonu „prostotę, spokój, powagę i prawdziwie boski ład," regestruje kolej wrażeń, wyznaje, że wobec tego pomnika „nikomu do głowy nie przyjdzie otworzyć drukowany przewodnik i szukać w nim szczegółów," wspomina o geniuszu dawnej Hellady — są to jednak uwagi nikłe w stosunku do tak wielkiego przedmiotu. Za ciekawym turystą, gdy rozglądał się po Atenach z Baedeckerem w ręku, nie chodziły duchy tych olbrzymów, od których padł nigdy niegasnący blask na Grecyę, a przynajmniej nie wlały mu do duszy potężnych natchnień. Nie czuje on się wobec nich małym i olśnionym, jak uczuli się wszyscy, którzy kiedykolwiek przebywali śród tych mar promiennych, lecz tylko, rzekłbyś, poświadcza swym podpisem dyplomy uznania dla Homerów, Fidyaszów i Periklesów. „Pracując dla sławy swego narodu — powiada — pracowali, nie wiedząc o tem, dla jego odrodzenia — i tacy nieśmiertelni *agenci* sprawili, że Grecya żyje." Nikt chyba dotąd nie nazwał tych bohaterów „agentami," chyba jakiś komiwojażer.

Słowem, nie mamy co robić dłużej przy tym zbiorku i przejdziemy do przewyższającej go pod każdym względem ostatniej powieści Sienkiewicza „Bez dogmatu."

(D. n.).

A. H.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY WIEDEŃSKIE

20 lutego.

Zapusty artystów wiedeńskich.

Jeżeli poważną produkcyą sztuk plastycznych inteligencya wiedeńska zajmuje się więcej, niż inna wielkomiejska, to żartami artystów interesuje się ludność cała. W tem zajęciu powszechnem jest coś, co przypomina czasy greckie; one balom kostiumowym artystów wiedeńskich nadaje cechę objawów życia ludowego. Wprawdzie zabawy te są dość zamknięte i już dla samej kosztowności ubrań oraz drogości kart dla klas niższych niedostępne; lecz sale, udekorowane przez artystów i zawierające galeryę żartobliwych dzieł sztuki plastycznej i malarstwa, zazwyczaj przez dwa tygodnie jeszcze stoją otworem dla ludu. W obecnym sezonie odbyły się po raz pierwszy dwie zabawy tego rodzaju; nowopowstałe towarzystwo „Viener-Künstlerklub," współzawodniczące z poważnym „Künstlerhaus'em," postanowiło i na tem polu pójść z nim w zawody. Próba ta nie udała się wprawdzie, Künstlerhaus zwyciężył, lecz w każdym razie wiedeńczycy zamiast jednego „Gschnasfestu" mieli dwa. W Kunstlerklubie" za przedmiot zabawy obrano „podróż do zwiększonego Wiednia" (Eine Reise nach Grosswien). Ściany sal pokryto dekoracyami, wyobrażającemi nowy dworzec centralny i widok miasta; urządzono „muzeum miejskie," pełne figur sklejonych z gałganów przeróżnych i karykatur. Ze znanych osobistości politycznych i artystów drwió tu wolno niemiłosiernie, a te satyry plastyczne prześcigają zazwyczaj dowcipem pisane. Atoli środki „Künstlerklubu" nie pozwalają jeszcze na urządzenie zabawy podobnej w wielkich rozmiarach. Za to „Künstlerhaus" wystąpił w sposób imponujący. Bal jego był jednym z najpiękniejszych „Künstlerfestów," jakie pamięta Wiedeń; bo też był on raczej olbrzymiem dziełem sztuki dekoracyjnej, aniżeli żartem karnawałowym. Myślą przewodnią była „czwarta przestrzeń": zgromadzić ona miała wszystko, co nie mieści się na ziemi, lecz w owym niedostrzeżonym „czwartym wymiarze." Okazało się jednak, iż program ten ściśle przeprowadzić się nie daje, poprzestano zatem na wyobrażeniu fantastycznego świata bajek i mitów. Olbrzymia paszcza smocza stanowiła portal główny; przedpokój przemieniono na moczary, a pierwszą salę — na jaskinię czarownic. Występowała tu śmierć w postaci szkieletu, zestawionego z korzeni chrzanu; czarownice, wzlatywały na miotłach. Pięciu czarowników zgromadziło się, aby wysłuchać wykładu uczonego o stworzonym przezeń „homunculusie"; były to plastyczne karykatury znanych artystów wiedeńskich, modelowane i wypchane przez mitrzów pierwszorzędnych, jak Tilgner i Benk. Dalej rozwierała się wspaniała świątynia indyjska, której ozdoby architektoniczne zestawione były z suszonych bułek, a na której pośrodku czworogłowy, czwororamienny i czworonożny bożek indyjski wyobrażał znowu znane osobistości miejscowe. Najoryginalniejszą była wielka sala, przemieniona na „dno morskie." Pod powałą wisiały powiewne, przejrzyste materye zielone, wyobrażające powierzchnię wody; w powietrzu przesuwały się ryby i inne zwierzęta morskie, płynące niejako w otchłaniach morskich. Rozbity okręt spoczywał w jednym rogu sali, przepyszna grota koralowa zdobiła róg przeciwległy. Jedna ze ścian wyobrażała Winetę, miasto podwodne o fantastycznej architekturze, druga stanowiła świetną parodyę architektonieczną znanych wykopalisk greckich, o płaskorzeźbach skarykaturowanych z humorem. Dalej widziałeś na ścianach sali walki zwierząt, przepyszną roślinność morską, porozsiewane bryły drogich kamieni, a wszystko to malowane niedbale, lecz ze sztuką prawdziwą, sposobem efektownym, tak iż całość olśniewała urokiem. Na samem dnie morza mnóstwo istot fantastycznych, zlepionych z poduszek, koszyków, skór i blach.

Z „dna morskiego" wychodziło się na szereg sal pomniejszych. Tu widziałeś jaskinię gnomów, tam grotę bogini miłości, gdzie rudowłosa piękność, zlepiona ze słomy i gipsu, spoczywała na łożu; dalej rozpościerały się góry, opanowane przez znanego ducha Rübezahla; straszliwy ten upiór zbudowany był z samych rzodkwi. W „Olimpie" znów wesoło ucztowali bogowie, spoglądając z pogardą na ogromną kulę ziemską, na której powierzchni pomieszczono żarty geograficzne. Lecz arcydziełem sztuki dokoracyjnej była wielka sala, w której odbywały się tańce. Wyobrażała ona czarodziejski ogród Laurina; malarz dekoracyjny opery wiedeńskiej, Kautsky, znany z polotu wyobraźni, stworzył tu dzieło niezwykle poetyczne. W dali góry błękitne, srebrzące się śniegiem, dokoła zaś palmy i krzewy kwitnące, altanki różami pokryte, aleje cieniste i niebo rozkoszne, po którem latały geniuszki, pełniące służbę kelnerów, a zatem dźwigające szynkę, piwo, syfony itp. Tuż przed ścianami ustawiono drzewa i krzewy prawdziwe, tak, iż złudzenie było całkowite. Artyści i rodziny ich wystąpili w kilku charakterystycznych grupach kostiumowych, które od czasu do czasu przechodziły przez sale, przepełnione tłumami ciekawych. Mężczyźni nosili przeważnie strój djabolski, kobiety zaś ucharakteryzowały się jako kwiaty: wszędzie widziano olbrzymie te, a jednak wdzięczne róże, lilie i hijacynty *).

Stwosz.

LIBERUM VETO.

(Szczere uwagi).

Życie nasze, jednostkowe i społeczne, ma w sobie dużo właściwości snu, z którego nas budzi dokuczliwe cierpienie, mocne światło lub przeraźliwy krzyk. Jakaś wielka boleść, jakaś wielka prawda lub jakaś tragedya przywraca nam świadomość. Wtedy zrywamy się, przecieramy oczy i usiłujemy zebrać całą przytomność umysłu, wtedy spostrzegamy to, czego dotąd nie widzieliśmy, co się nam nie śniło. I rzecz dziwna, zasypiamy ciągle skutkiem czujności naszych zmysłów. Otaczają one jak niańki

*) A u nas? U nas urządza się malarski lub artystyczny i wali się nogami w podłogę przez noc całą *Red.*

i opiekunki duszę naszą, kołyszą ją, śpiewają jej fantastyczne piosenki, dopóki się nie zdrzemnie. Z tych zaś piastunek największą zdolność pogrążania myśli we śnie posiada niewątpliwie wzrok. Nieraz potrzeba tysiąców lat rozwoju, niezmierzonego szeregu dowodów i doświadczeń, ażeby człowiek nakoniec uwierzył, że to, na co patrzy, nie jest prawdą, że on widzi tylko powłoki rzeczy, osłony zjawisk, maski twarzy ludzkich. Stary Arystoteles radzi tym, którzy chcą dojść do poznania, ażeby naprzód umiejętnie wątpili! Ale wątpić nie jest łatwo, a zwłaszcza nieprzyjemnie. Wszyscy bez wyjątku szczerze pragniemy, ażeby każdy przedmiot był istotnie takim, jakim nam się przedstawia, ażeby dobroczyńcę ożywiała miłość bliźniego, ażeby modlący się wierzył, ażeby kochający nie kłamał, ażeby idealne dziewczę posiadało naturę anioła itd. Dotkliwy zawód ciągle budzi nas z tych złudzeń, lecz wzrok zamyka oczy rozumowi i spać mu każe. Ileż to razy przez rozdarte zasłony pozorów, przez rozmaite szczeliny życia spostrzegaliśmy wstrętną rzeczywistość w świecie zbytku, elegancyi, wytwornych form zwyczajowych i mile brzmiących słów. A jednakże ustawicznie zdaje nam się, że błotne kałuże, cuchnące wyziewy, zwierzęce instynkty są własnością nizin społecznych. Po nad niemi nad oparami padołu, na wyżynach, domyślamy się tylko czystego powietrza, orlicą gniazd, błękitnego nieba i rzęsistych promieni słońca. Trudno nam uwierzyć, ażeby złodziejstwo ubierało się w drogocenne korty, pijaństwo — w brylanty, rozpusta — w jedwabie; występki powinny mówić tylko ochrypłym głosem, chodzić w łachmanach, brudzie, boso i posiniaczone. Bo czyż z grubą niecnotą godzi się łagodny ton ust, delikatność skóry, wyniosłość spojrzenia, szelest kosztownych materyj, pachnące kaskady wyrazów, z których każdy zawiera jakąś błyskotliwą myśl lub słodkie uczucie?

Tak sobie wyobrażamy w snach życia [illegible]cego, lecz nagle obudzeni, przekonywamy się, że bywa inaczej. Przed pół rokiem rozległ się krzyk zbrodni, popełnionej na artystce teatrów warszawskich. Kobieta młoda, ponętna, szybko wznosząca się po stopniach karyery, otoczona dobrobytem, ciągnąca za sobą w warkoczu komety długi ogon wielbicieli została zabita przez kochanka na schadzce. Morderca oświadczył, że dogodził jej własnej woli. Jej woli? Jak to, ta pieszczocha losu, ta uwieńczona i oklaskiwana tryumfatorka, której każdy oddech mógł być uśmiechem, zadowoleniem lub dumą, miałaby życzyć sobie śmierci? W takim razie kto pragnie życia? Sąd zajął się rozwiązaniem tej zagadki, zbadał winowajcę, powołał do zeznań świadków, zebrał wszystkie objaśniające szczegóły, dopełnił je logicznie wysnutemi przypuszczeniami i roztoczył przed nami obraz jaskrawy, zarówno wstrętny, jak pouczający. Wstrętny nietylko widokiem głównych bohaterów. Jakkolwiek po tej sekcyi sądowej Wisnowska przedstawiła nam się skażoną moralnie, jakkolwiek zabójca, który jej uległość zdobywał pogróżkami, który przykładając sobie wobec niej ciągle rewolwer, gdy mu odrywała, odrzucił go, gdy jej ręka zastygła, który tłómaczył się, że spełnił jej życzenie, a nie mógł spełnić swojego, nie wydał się sympatycznym nawet swemu obrońcy — nie myślę rzucać kamieni potępienia ani do grobu zmarłej, ani do celi więźnia. Ona za swe błędy, za igraszkę z namiętnością męzką, za lekkomyślność, za zwyrodnienie moralne, za tę grę ryzykowną i często fałszywą, w której — jak powiada Cervantes — „pomiędzy *tak* i *nie* kobiety niema miejsca dla wetknięcia szpilki," poniosła najcięższą karę, jaka spada na głowy ludzkie; on za morderstwo, szałem i zazdrością wywołane musi przez 8 lat pokutować w ciężkich robotach i zakończyć życie w pozbawieniu wszelkich praw. Oboje umarli — więc rachunek z nimi skończony, zwłaszcza że nie zostawili po sobie przykładu zbyt zaraźliwego. Ale pozostali żywi, którzy wraz z nimi mniej lub więcej wytwarzali tę pochyłość, po której ona stoczyła się do grobu, a on — do więzienia. Nie twierdzę, ażeby wszyscy znajomi lub przyjaciele Wisnowskiej spiskowali przeciw jej cnocie, bo byli między nimi i ludzie uczciwi; ale niewątpliwie wielu z nich chciało ją posiąść lub przynajmniej podrażnić sobie nerwy narkotykiem jej słów łaskotliwych. Mężczyzna tegoczesny, europejski, jest naturalnym nieprzyjacielem każdej kobiety, której nie czci i nie kocha, gdyż albo ją lekceważy, albo usiłuje spożyć. Powiada on słusznie w jakiemś przysłowiu, że „honor, wiara i oko nie znoszą żartów," ale z tej reguły wyłącza honor niewieści. W ogrodzie swoim lubi on kwiaty rosnące, ale w cudzym — zerwane. Cnota ma dla niego dwa odmienne smaki: w matce, żonie, siostrze, córce i kochance — upaja go, w znajomej — mdli. Jest to egoistyczny, czasem bezwstydny, zwykle bardziej od kobiety zmysłowy samiec, który zrujnowany hulanką i zmęczony rozpustą powiada, jak indyanin: „Bóg dwa razy zbłądził — stworzywszy słotę i kobietę," podczas gdy ona, stawszy się jego ofiarą, mówi: „jeden włos mężczyzny ciągnie mocniej, niż cztery woły." Od kochanki lub żony wymaga, ażeby jej serce było zwierciadłem bez skazy, innym chciałby w piersi osadzić talerz, na którym by mu podawały przysmaki. Kręci nosem na najsłabszą woń nieskromności w stałym stosunku sercowym, ale rozdyma nozdrza i wciąga niemi z zadowoleniem zapaszek zgnilizny w przelotnym. W domu własnym lubi atmosferę zdrową i czystą, w cudzym — chorobliwą i mętną. Jeżeli takiej nie znajduje, to ją chętnie wytwarza. Najczęściej zaś wytwarza w otoczeniu aktorek. Nikt nie zdołałby policzyć, ile tych ofiar strawił Moloch męzki w swem rozpalonem namiętnościami wnętrzu. Nie więcej zabrała ich cholera. Rzecz zdumiewająca, do jakiego stopnia teatr i cyrk mają własność budzenia samczych pożądań w mężczyźnie. Ta sama kobieta, którejby nie musnął okiem na ulicy lub w salonie, którąby nazwał brzydką, głupią, nudną, ogarnia go zachwytem lub szałem na deskach sceny lub grzbiecie konia. Ubóstwia ją, osypuje pieniędzmi i czułościami, dla niej kradnie, oszukuje, podli się, strzela sobie w łeb, traci rozum i przeradza się w dzikie zwierzę, gotów każdej chwili łzy najdroższych istot zamienić jej na brylanty. Nie brzydzi się ani jej pokalaną przeszłością, ani obecnem zepsuciem, przebacza jej wszystkich swoich poprzedników i następców, dzieli się nią z innymi bez wstrętu, znosi od niej poniewierkę bez gniewu, a jednocześnie ją znieprawia. Bo kiedy mężczyzna może każdej chwili wykąpać się w opinii publicznej z tego błota, kobiecie wolno je tylko okryć strojem. Nawet wtedy, gdy jej jako artystce ozdobią czoło wawrzynem, odsłaniać będą ciało dla ukazania plam. On, wstępując w sferę niemoralności, dostaje markę powrotną, ona tylko bilet na miejsce bez prawa wyjścia. Więc cóż ma począć pokalana? Kręci się w wirze, do którego wpadła, a straciwszy siły, tonie. Czy ona wskakuje weń sama, czy ją wrzucają? Nieraz już sąd rozgrzebał życie tych nieszczęśliwych bohaterek, wiemy przeto, że bardzo rzadko strącają się w otchłań same. Zwykle nie są to owe przez naturę potępione wyrodki, których potworną galeryę ukazuje nam Lucas, Moreau, Ribot lub Maudsley, ale dziewczęta fizycznie i moralnie zdrowe, niemające żadnych szczególnych upodobań do rozkiełzania swoich i cudzych namiętności. Ta sama Wisnowska, która w 30 roku życia już przebiegła całą niemal drogę upadku, która musiała wpuszczać i wypuszczać rozmaitemi drzwiami swoich licznych wielbicieli, za którą uganiał się cały rój motylów, która nie mogła przed nimi zamknąć ani swego salonu, ani swej sypialni, byłaby niewątpliwie przyzwoitą, nieściganą i niedemoralizowaną kobietą, gdyby nie została aktorką. Wszędzie, na całym ucywilizowanym świecie, zaciekła w swych żądzach i nielitościwa w dogadzaniu im gromada samców ściga każdą artystkę dopóty, dopóki jej nie zdobędzie lub nie spotka się z energicznym oporem. Oporem bardzo rzadkim. Najczęściej urodzona i wychowana w ubóstwie lub niedostatku, potem nieustannie kuszona wszystkiemi ponętami zbytku i pozorami miłości, poddaje się tym czarom, które ją upajają i olśniewają, zasłaniając smutny koniec uroczym początkiem. Czy będziemy się dziwili biednym, wrażliwym i opętanym Małgosiom, że nie mogą oprzeć się Faustom, którzy im szepczą czułe wyznania i Mefistofelesom, którzy im podsuwają brylanty? Czy ma prawo potępiać je mężczyzna, który nie może oprzeć się 10-rublowemu papierkowi łapówki lub zalotnym spojrzeniom służącej? Na niewieści też świat artystyczny padła szeroko zaraza moralna, nikt nie wierzy w czystość tych kapłanek „świętego ognia," każdy podejrzywa nawet cnotę uczciwych i śmiało im robi najrozmaitsze propozycye. W tych szczęśliwych i chybionych pokuszeniach tkwi szczątkowo i nieświadomie stary i okrutny morał, wyrażony przysłowiem chińskiem, że „najlepszą jest ta kobieta, o której nikt nie mówi," morał, poczerpnięty z cywilizacyi Wschodu, gdzie kobieta żyje zamknięta i gdzie bez obrażenia przyzwoitości nie wolno nawet męża zapytać o żonę. Tę zasadę (głoszoną nawet przez Periklesa) wyssaliśmy z piersi kultury klasycznej i dotąd krąży ona w krwi naszej. Jeżeli kobieta tem jest lepsza, im o niej ludzie mówią mniej, to tem gorsza, im mówią więcej. Taką zaś bywa każda artystka. Chociaż nie przyznajemy tego, mniemamy bezwiednie, że tę, którą ochrzciła sztuka, bierzmuje hańba. Dlatego wciskamy się za kulisy, pomijamy w zaznajamianiu się z aktorkami te formalności, których nie pozwoliłaby nam opuścić żona i córka najniższego urzędnika lub przemysłowca. Wierzymy, że ta, która ukazuje na scenie swój talent, wynosi jednocześnie na rynek swą cnotę. Nazywamy teatr świątynią, ale nie wyobrażamy go sobie pod opieką trzech muz i dodajemy mu za patronkę czwartą — Wenerę. Słowem, jesteśmy ohydni barbarzyńcy, którzy żywią się kobietami, lecz ich nie szanują i nie mogą im przebaczyć, że chcą być ludźmi.

Teatr ma być świątynią. Był nią kiedyś u greków i rzymian, dziś jest raczej budą jasełek, szopką aktorską i miejscem schadzek. Nie przepowiadam i nie wyczekuję reformatora, który go oczyści, który mu przywróci dawną godność moralną, bo tego nie dokona jednostka. Jeżeli kiedykolwiek na ołtarzu Melpomeny zacznie znowu palić się święty ogień bez smolącego i duszącego dymu, który nas w oczy szczypie, to nastąpi tylko pod wpływem przerodzonych obyczajów, a zwłaszcza podniesionego stanowiska kobiety. Dopiero wtedy, gdy zrozumiemy i uznamy, że ona jest pełnoprawnym człowiekiem, że na równi z mężczyzną może nietylko posiadać, ale ujawniać swoje zdolności; że nie potrzebuje oprawiać swego talentu w ramy hańby, lecz może go ozdobić klejnotami cnót wszelkich; że kobieta publiczna nie jest kobietą publiczną w znaczeniu obecnem; że artystka nie musi być kapłanką Afrodyty Pandemos — wtedy ustaną teatralne zaloty, skandale, uwodzenia, zabójstwa i procesy. Napisaliśmy już całą bibliotekę, zawierającą *le mal qu'on a dit des femmes*, pomściliśmy już złośliwym dowcipem wszystkie rzeczywiste i urojone krzywdy męzkie, tem jednak nie rozstrzygnęliśmy sprawy: po linii równoległej z biegiem konceptów porusza się rozwój pojęć, wyrównywający prawa obu płci, który kiedyś kobietę zabezpieczy od samców. Jeżeli zaś oni dziś ją bezczeszczą, gubią, nurzają w błocie, winni temu nie sami

bohaterstwie gorszących lub bolesnych dramatów, niż ogół. W procesach sądowych tej osnowy na ławie oskarżonych zasiada całe społeczeństwo, chociaż karani tylko ci, którzy zebrali w siebie jak wrzody na ciele zepsutą jego krew.

Poseł Prawdy.

KRONIKA.

Wychódźtwo. Agenci brazylijscy rozwinęli swą działalność w miastach fabrycznych. W warszawskich fabrykach wyrobów żelaznych i warsztatach kolejowych, jak zapewnia *Kur. warsz.*, okłamują oni robotników, iż w Brazylii zaczęto budować liczne koleje skutkiem tego z warsztatów drogi Nadwiślańskiej uwolniono 18-tu robotników, udających się za ocean, namawiając innych. Nawet maszyniści wybierają się z rodzinami.

— Z różnych okolic kraju korespondenci pism codziennych donoszą o przygotowywaniu się masowego wychódźtwa na wiosnę.

Sprawy społeczne. Rada zarządzająca kolei Wiedeńskiej przeznacza 500 rs. na projektowaną kuchnię tanią w okolicach swego dworca.

— Z gub. samarskiej donoszą o głodzie panującym śród ludności wiejskiej. W wielu miejscowościach włościanie żywią się chlebem, pieczonym z otrębów i odpadków pszenicy.

— *Gazeta warszawska* donosi, iż wyjednano stałą coroczną zapomogę rządową dla teatrów warszawskich w kwocie 60,000 rs. Dotychczas co lat pięć wyjedny- [illegible]

— Inspektor fabryczny okręgu warszawskiego, p. Swiatłowskij, pociągnął do odpowiedzialności sądowej fabrykanta wyrobów metalowych w Warszawie, Izaaka Hufnagla, za przekroczenia przepisów o pracy małoletnich. Nadto wykryto, że robotnicy otrzymywali na rachunek zarobku marki do jednego z sąsiednich szynków.

Sprawy kolejowe. W zarządzie głównego Towarzystwa ruskich dróg żelaznych odkryto podrobione bilety bezpłatnej jazdy. Blankiety z książki sznurowej wyjmował jeden z urzędników zarządu, Kałużników, i sprzedawał przy pomocy studenta, Karpowicza i mieszczanina Dutowa. Podpis naczelnika zarządu fałszowała Erszonowa; nazwiska wpisywali sami podróżni.

— Okazało się, iż na kolei Grazi-Carycynskiej od 1 stycznia r. b. zaliczono na rzecz skarbu państwa o 150,000 rs. za mało. Akcyonaryuszom kazano tę sumę zwrócić z ich dochodu za rok 1890.

Wystawy. Wystawę nasion, płatą z rzędu, otwarto w Warszawie, w Muzeum przemysłu i rolnictwa. Oprócz nasion, zbóż i traw, w zakres jej wchodzą wyroby fabryk cukru, gorzelni, browarów, młynów parowych i wodnych, wyroby domowego gospodarstwa wiej- [illegible]

— Komitet wystawy w Moskwie zawiadamia, iż termin otwarcia naznaczono na 13 maja r. b.

— Na wystawie pracy, zapowiedzianej w Paryżu na lipiec, postanowiono urządzić wystawę historyczną rękodzieł i mody.

— W Chicago stowarzyszenia robotnicze (*Trades unions*), które złożyły na fundusz wystawy 300,000 dolarów, żądają, aby przy budowach używani byli tylko robotnicy należący do związku. Prezes stowarzyszeń, O'Connel, wystosował pismo do dyrekcyi wystawy, w którem grozi środkami przemocy w razie pogwałcenia praw pracy zjednoczonej.

Szkoły. *Wil. Wiest.* donosi, iż sprawa wyższego wykształcenia rolniczego została rozwiązana w ten sposób, iż postanowiono otworzyć szereg instytutów rolniczych w miastach uniwersyteckich: Warszawie, Moskwie, Kijowie, Odesie i Kazaniu. Zakład w Nowej-Aleksandryi (Puławach) ma być przekształcony na szkołę średnią rolniczą, na wzór humańskiej; następnie takie same instytuty będą otwarte w Charkowie, Petersburgu i Tyflisie.

— Przy Muzeum pedagogicznem wojskowych zakładów naukowych w Petersburgu otwarto kursy pracy [illegible]

— We Lwowie zwołana przez namiestnictwo ankieta w sprawie otworzenia wydziału lekarskiego, uchwaliła oddanie klinik pod zarząd krajowy. Gmachy niezbędne wybudowane będą kosztem krajowym i państwowym.

Przemysł i handel. W Petersburgu powstaje wielka agentura do pośredniczenia w handlu pomiędzy Rosyą a Wielką Brytanią. Zajmie się ona przeważnie handlem zboża i materyałów surowych.

— Na Nowej Pradze powstaje walcownia drutu i blachy.

— W Warszawie powstała pierwsza wędzarnia ryb.

— Z Krakowa donoszą, iż staraniem Towarzystwa rybackiego w maju do dorzecza Wisły wpuszczona będzie ikra łososia w ilości 250 tysięcy sztuk. W Poroninie w stawku miejscowym hodowanych będzie 5,000 łososi wiślanych, a w Morskiem Oku 2,000 sztuk łososia rzecznego amerykańskiego.

— Z Buchary wysłano w bezpośredniej komunikacyi 300 próbnych pak bawełny gatunków środkowo-azyatyckich dla francuskiej przędzalni. Jest to pierwszy transport tego produktu z Azyi środkowej na rynki zachodnio-europejskie.

Wiadomości administracyjne. W projekcie nowego kodeksu cywilnego postanowiono wprowadzić w Cesarstwie rady familijne, na wzór istniejących w Królestwie Polskiem.

Wypadki. W Mysłowicach w kopalniach węgla zginęło 7-miu górników skutkiem oderwania się skał.

— W Halifaxie (nowa Szkocya) w kopalniach węgla zdarzył się wybuch gazów, w chwili gdy pracowało pod ziemią około tysiąca robotników. Do dn. 24 b. m. wydobyto 70 trupów. Liczba ofiar jeszcze nie jest obliczona.

Bibliografia. B. S. *Elementarne zasady ekonomii politycznej*, z niemieckiego, str. 68, Warszawa.

— *Zbiór deklamacyi*, część I, str. 50 Warszawa.

— R. Lubicz, *Wydawnictwa peryodyczne w Lublinie*, str. 16, Lublin.

— E. Desbeaux, *Tajemnice wiedzy*, zeszyt 2.

Zmarli. Józefina z Reszków Kronenbergowa w Warszawie, niegdyś śpiewaczka, która zdobyła sobie szeroką sławę. Po zamążpójściu brała udział tylko w koncertach na cele dobroczynne, kształcąc przytem prywatnie wiele uczenic. Szanowana i lubiana była powszechnie.

— Marya Nowakowska, artystka teatrów warszawskich. Nie posiadała wybitnego talentu, ale była użyteczną dla sceny. Zmarła rażona atakiem apoplektycznym na scenie, podczas przedstawienia „Maryi Stuart“: odwieziona do domu w parę godzin potem skonała, nie odzyskawszy przytomności.

— Henryk Sumiński, w Warszawie, pomocnik głównego inżeniera miejskiego. Przez długie lata czuwał nad bezpieczeństwem mieszkańców nad Wisłą, jako nadzorca rzeki.

— Józef Szlezygier w Warszawie; pedagog. Oprócz drobnych prac, napisał: „Uwagi nad dziełami, używanemi do wykładu historyi powszechnej,“ ułożył także „Słownik polsko-ruski, zastosowany do potrzeb urzędników.“ Jako zapalony myśliwy, napisał dwie książki: „O polowaniu z wyżłami“ i „Myśliwy ze strzelbą.“

— Dr. Aleksander Ogonowski we Lwowie; profesor prawa cywilnego przy miejscowym uniwersytecie, prezes ruskiego towarzystwa „Narodna rada.“

— Bergstrand w Sztokholmie; publicysta szwedzki, piszący często pod pseudonimem: Marcellus. Był redaktorem *Nya Dagl. Allehande*.

— Paweł Swande z Semerye, dyrektor teatru narodowego czeskiego w Brnie i literat.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu T. W. Oprócz kilku szczęśliwych wyrażeń, reszta w wierszu Pańskim nie posiada wartości artystycznej.

M. Dramat Ibsena znany tylko ze sprawozdania; może więc Pan prześle swój przekład.

Prenumeratorowi z prowincyi. Nie.

Pani H. K. w Kijowie. Wiele ustępów i rysów bardzo dobrych, ale charakter bohaterki nie nakreślony wyraźnie. Co wyraża ostatnia scena — nie rozumiemy.

Panu Roli z nad W. Ma Pan zupełną słuszność: z tych zeznań spłynęło na nas wiele, bardzo wiele wstydu.

Dr. F. A. Komedya ma dużą wartość artystyczną, grana była w Krakowie i Lwowie. Czy nadaje się do odegrania w teatrze amatorskim, zależy to tylko od jego sił i uzdolnień tego grona, które w nim udział przyjmie.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 15 Февраля 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.